Nr. 7. Lwów, dnia 1. Lipca 1891. Rok XIV.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Zdolności umysłowe u zwierząt

przez

Kazimierza br. Wodzickiego.

(Z pozostałych rękopisów).

I.

Nauki przyrodnicze, do tej chwili, dziwnie i wyłącznie ograniczały się na odkryciu gatunków, tychże cech, ich pożytku i szkodliwości, osądzonej ze stanowiska człowieka, na regestrowaniu i szeregowaniu grup, rodzajów i gatunków, na przerzucaniu gatunków jednych do drugich, na tworzeniu nowych rodzajów, tworzeniu nazw nowych grecko-łacińskich, niekiedy nawet trudnych do wymówienia, a cóż dopiero do spamiętania, co tylko rzucało zasłonę na dawną i znaną klasyfikacyę, a bynajmniej nie konsolidowało nowszej.

Ta chłodna nauka, a do tego niedostarczająca chleba, nie zajmowała i nie porywała młodzieży — i do najnowszych czasów młodzieniec przyrodnik bywa wyjątkiem w społeczeństwie naszem. Nikt się nie posunie ku tej otchłani niezgłębionej, zwanej organizacyą przyrody, tak cudownie dokładnej w najszerszych rozmiarach, jak i w najdrobniejszych szczegółach tej organizacyi, obowiązującej ogół, niezmiennej w swych zarysach, a znowu zostawiającej pole wolne do działania po za tymi granicami, stosownie do zdolności, potrzeb i okoliczności.

Jak kodeks obowiązuje wszystkich, a po za nim pozostaje wolna wola, tak i organizacya obowiązuje, zamknąwszy się w zwartych ramach; ale po za ramami niepodległe życie, zwyczaje i potrzeby najróżniejsze, częstokroć należące do osobników a nie do gatunków, rzekłbym wolna wola działania.

Żyjątka wszystkie kierują się instynktem dla nich obowiązującym, z pod tego kierownictwa wyłamać się nie mogą, a zatem podlegają tym samym prawom. Oto aksiomat, postawiony przez uczonych, usuwający chęć i potrzebę zgłębiania życia, zwyczajów, studyowania charakterów, badania tych kroci zmian, które nas odurzają swą osobliwością, gdyż odmawiający żyjątkom pracy umysłowej, każący im działać z przymusu, pod parciem instynktu.

Nie szukam ja duszy, lecz odmówić nie mogę zwierzętom iskry duchowej, wytwarzającej pracę umysłową, uczucie, rozum, przebiegłość i te rozliczne stopnie sprytu, które podziwiamy. Przeczyć temu nikt nie może, że żyjątka nabierają doświadczenia, wzbogacają pamięć, a przez obcowanie z czło-

wiekiem wykształcają rozum i uczucie. To stopniowanie ozdób duchowych i zdolności dowodzi dostatecznie, że jest w nich coś, co zastępuje u zwierząt duszę.

W tem samem zniesieniu, w tym samym rzucie spostrzegamy stopnie zdolności, natrafiamy na utalentowanych i upośledzonych, na lgnących do człowieka i pozostających dzikimi — jednem słowem na rozumne i głupie stworzenia. Jak w ludzkości, tak i w przyrodzie wyrastają nad poziom osobniki podziwienia godne w pewnym kierunku. Uczucie rodzicielskie, ofiarność koleżeńska widoczna, niekiedy nawet w głodzie dzieląca się znalezionem pożywieniem. Uczucie rodzicielskie posunięte do namiętności narażającej życie — i znowu stopniowanie, kończące się na obojętności rodziców dla dzieci. Tu przeczyć nie możemy rozumowaniu, widząc namysł i postanowienie przed wykonaniem. Od wysoko wykształconej odwagi do nikczemnego tchórzostwa, przy możności ratunku, spostrzegamy w zwierzętach jak i w ludziach. To samo twierdzić muszę o pamięci, czułości przywiązania i korzystania z doświadczenia. Koleżeństwa po za porą lęgową, pełne czułości i wzajemnej opieki, widujemy nader często. Któż z nas nie posiadał koni w takiem koleżeństwie, które przy rozłączeniu smutniały, jeść przestawały i widocznie chudły? A ptaki rozłączone, przestające zupełnie spiewać i w końcu zdechające z tęsknoty w żałobie? Są wreszcie uczucia anormalne, dla nas niepojęte, jak związki koguta z kaczką, kaczki z gęsiorem, psa z kotem i sarną lub łanią i krocie anormalnych związków. To znowu zagadkowe pożeranie jaj przez pawia, kaczora itd., wyrzucanie jaja a niekiedy pisklęcia przez bociany, nareszcie pożeranie własnych prosiąt i warchlaków. Nieodgadnięte porzucanie gniazda, zagłodzenie pisklęcia benjaminka, a niekiedy całego zniesienia, to znowu bohaterskie poświęcenie rodziców dla dzieci — wady i cnoty widoczne, a niekiedy, że tak powiem, rzeczywiste wyższości u pojedyńczych stworzeń.

Wiele nam, badaczom, dozwolił Bóg zedrzeć zasłony z tajników przyrody, lecz nieobliczalne zachował w głębi swej mądrości.

Ścisłe wytyczenie granicy dla praw instynktem nakazanych, granicy, jak już mówiłem, wolnej woli, studyowanie życia i zwyczajów, zdolności i wyjątkowych uposażeń, poznanie pamięci, uczuć i pracy umysłowej, odkrycie rzeczywistej wyższości w swym rodzie, porównanie jednych do drugich, w końcu badanie przyczyn — oto co stanowi tło do niewyczerpanych badań, do wdzięcznych odkryć, do pracy rozjaśniającej nam ogrom przyrody i jej tajemnic. W tych studyach, nieraz jeden, badacz będzie w błąd wprowadzony, przyjmie złudzenie za rzeczywistość, zgrzeszy nawet, i to najsumienniejszy, rozgłoszeniem odkryć na prawdzie nie opartych — lecz niebawem światło ujrzy, gdyż na tej drodze ciekawość bywa gorączką, parta i podniecana, więc nieprzerwaną pracą prawdy dociec musi.

W szczególności ciekawem jest studyum osobników, odznaczających się zdolnościami i talentami nie naśladowczymi. Tomy bym zapełnił niezliczonymi spostrzeżeniami zajmujących wyjątków w świecie przyrody, lecz na to ramy czasopisma nie pozwalają, a do tego nużyć by mogły czytelnika, nie zgłębiającego tajników przyrody.

Jednem ze stworzeń, dziś coraz rzadziej pojawiających się na kontynencie, a wzbudzających ciekawość, jest b ó b r. Zwierzę to buduje domy i mieszkania, niekiedy używając materyałów zaiste ciężarem swym zadziwiających; pojąć nie można, jaką siłą ścięte zostały i przytransportowane. W tym samym lesie i tym samym drzewostanem każdy architekta buduje według swego planu a dzieci nie naśladują w budowie rodziców, wyłamując się z pod prawa bobrowego. Niemal taka różnica, jaką spostrzegamy w domkach na przedmieściach miast, a pałacach, bywa i w budynkach tych tajemniczo żyjących ssaków. Budowniczy bywają wyjątkowych talentów i podziwienia godnej pracowitości.

Przypominam sobie barłóg s a m u r y, istny pokoik ze ścianami i z zakryciem od wiatru i śnieżyc. Cóż to ona pracy wykonać musiała, zanim ta dzieciarnia wybudowaną i ukończoną została. Czy drugi taki barłóg sobie urządzała w innym lesie, nie wiem. Inna samura z dalekich stron znosiła mchy i suche trawy i ułożyła na pół metra wysokie, istne polowe łoże.

W gawrach niedźwiedzich spotykamy najdziwaczniejsze odmiany i budowy, nawet trudnoby opisać wzór dla ogółu. I tak, dosyć wysoko pod połoninami, odkryto dziupło jodły olbrzymiej, zupełnie od dołu wypruchniałej. To dziupło wyczyścił n i e d ź w i e d ź tak, że w środku wydawało się jak ul bezdennik i w tym dziuple przezimował, stojąc pionowo lub siedząc na zadzie.

Krocie wyjątków, krocie stopni zdolności, a przyczyny nieodgadniesz. N. p. l i s z k a wyczyściła spróchniałe trociny lipy na łączce leśnej i w dziuple wywodziła lisięta. Byłaby może do dziś dnia z lipy wyprowadzała co roku, żeby nie zdradzające swą obecność dzieci, grzejące się do słońca w gałęziach. Oczywiście wypatrzone, wraz z zmyślną matką przypłaciły śmiercią wspólną wyjątkowe to życie.

W ptasim rodzie jeszcze więcej wyjątków, oryginalności i stopni zdolności, wprowadzających nas niekiedy w zdumienie swym artyzmem. Muszę choć kilka w krótkości opisać.

W gnieździe c z a r n e j k a n i znalazłem cały numer gazety i fartuszek chłopski, wpleciony w gałęzie; w gnieździe innej, łachmany wiatrem ruszane, których się ptaki nie lękały.

K r a s k a źle obrachowała przestrzeń w dziuple dla dorastającego potomstwa, więc mu było za ciasno, jedne pisklęta się zadusiły a inne, wydobywszy się przez otwór, śmiercią przypłaciły. K u k u ł k a niekiedy w ten sam sposób zadusza kukułczątko. Wyjątki osobliwe, przyczyna tychże nieodgadnięta.

Mamy n. p. zapewnienie o wysiedzeniu szczęśliwem piskląt pod szynami na kolejach, a gniazdo to ledwie na cal było oddalone od przebiegających kół. Musimy tu podziwiać wyrachowanie i odwagę samiczki. W mojej okolicy s k o w r o n e k p o ś m i e c i u s z e k wychował, że tak powiem, na szynach swe dzieci.

Posiadałem istne cacko, splecione z mszastych kwiateczków, na przemian różowych i białych; nigdzie nie były dwa razem jednej barwy, lecz kolory obmyślane i wiernie dobrane. To pieścidełko dowodziło pewnego stopnia artyzmu i estetyczności. Tylko raz w życiu zdybałem coś podobnego, a była to budowa d z i e r z b y c z a r n o c z e l n e j (srokosza). W tej samej porze i miejscowości gnieździło się kilka par gatunku dzierzby, wszakże żadna wyjątku w słaniu gniazda nie uczyniła, a gdy barwista samiczka na gnieździe siedziała, to zaiste można było powiedzieć: widzę bukiet w bukiecie.

Tak nazwany m y s i k r ó l i k czyli w o l e o c z k o (krzciuczek), najdrobniejsza nasza ptaszyna owadożerna, buduje z zielonego mchu istne kapliczki z ciasnym otworem do wlatywania. W tym gatunku zdybujemy dziwne zamiłowanie do budownictwa. Gdy mysi królik gniazdo samiczki oddał na dzieciarnię, buduje dla siebie sypialnię podobną, a w swej ulubionej sztuce posuwa się do budowania bez

celu i potrzeby, i buduje dwie i trzy kapliczki wcale nie używane. Ten talent nie wszystkim właściwy, wszakże stanowi liczne wyjątki. Nie płochliwy, więc nader łatwy do badania, zmusza ów ptaszek do podziwiania pracy ojca, męża i zamiłowanego budowniczego.

Samica nurka zniosła na kępince jaja, lecz kępa się oderwała i zniesienie wiatrem bywało noszone po całem zwierciedle stawu. Skakało to po falach, a przecież ta wyjątkowa samica wysiedziała pisklęta w takich burzliwych okolicznościach i polubiwszy swój statek, na tymże nocowała z rodziną.

Wyjątki i stopnie talentów są niezliczone, kilka więc jeszcze przytoczyć muszę.

Na zjeździe ornitologów w Halli pokazywałem 68-u uczonym gniazdo trzcinnej sikory wąsatki, misternie utkane do tego stopnia, że żaden z tych panów poznać nie mógł pierwiastka. Workowate gniazdo, z lśniącej tkaniny, wyrobionej z kolbowej trzciny, przedstawiało materyą jak gdyby przez Persów wyrabianą, a przytem tak silną, że z trudnością ją rozerwać było można. W tej wierzchowinie stawu gnieździło się kilka par ścieląc zwyczajne gniazda, żadna się wszakże nie posunęła do stopnia takiego artyzmu, mając tego samego materyału podostatkiem.

Niekiedy dumać można godzinami nad przyczyną ścielenia wyjątkowych gniazd, n. p. jaskółek, lepiących gniazda we wnętrzach mieszkań ludzkich, narażających rodziców i pisklęta na głodową śmierć przez zamknięcie drzwi lub okna. Nie zapomnę umieszczonego poza młyńskiem kołem gniazda pluszcza, zwanego kosem wodnym, na które krople padały, również zimorodka, przebijającego promień wody za wlatywaniem. I te wyjątkowe parki szczęśliwie pisklęta wychowały. Słanie gniazd rudogonów pod wschodami, nawiedzanymi łoskotem deptania, owadożernych spiewaków na roślinach, ustawionych przed domami w wazonach i t. d. bez końca.

Czy nagła potrzeba, czyli też nieprzygotowane łoże jest powodem wypędzania właścicieli i zdobywania gniazd na własność, odgadnąć trudno, lecz nader często u drapieżników widzimy zniesienie w obcem gnieździe, nawet ptaków nad miarę ostrożnych, jak gołębiarzy, gnieżdżących się nie wysoko i w bliskości człowieka. Widzimy nader często napadanie wróbli na bezbronną jaskółkę, siedzącą na jajach, a niech nikt nie myśli, że zamurowanie wróblicy przez jej towarzyszki to gadka ludowa, przeciwnie, to się częściej zdarza, niż przypuszczano. Wróble wypędzają i szpaki z gniazd pospolitych i sztucznych i staczają z nimi zapamiętałe walki. Wszakże najczęściej rozumny i przemyślny wróbel wyrozumował sobie, że najłatwiej swym silnym dzióbem bronić zdobyczy z wnętrza gniazda, korzysta więc z nieobecności szpaków, usadawia się przy otworze i niemal zawsze zwycięży.

Artyzm w budownictwie najczęściej bywa u osobników, lecz niekiedy i w stadach. U termitów, mrówek, owadów, pająków i t. d. spotykamy się z nim, a niekiedy wzbudza zdziwienie jako wyskok tajemniczy, z planem obmyślanym i dokładnie wykonanym. Bywają to unikaty, o ile o tem sądzić może człowiek w swem krótkiem życiu, jak gdyby sobie te żyjątka pomniki stawiały.

Osy wybudowały raz gniazdo wielkości głowy ludzkiej z nieznanych mi pierwiastków; ściany przypominały papier tłuszczem napuszczony, wszakże materya była silna i nie bez trudności ją rozerwać można było, a w około tego balonu dwie gałązki z liściami płaczącej brzozy. Co powodowało owady do tej żmudnej a tak doskonałej pracy, nie posiadającej wzoru? W tym samym ogrodzie wykurzone osy nigdy już podobnego gniazda nie utkały, ani też nigdzie nie widziałem gniazda do tego podobnego.

Jako architekci w ogólności mają zwierzęta wyznaczone prawidła, lecz się stosują do miejscowości i materyałów. Jedne budują na modłę odwieczną, inne znowu odznaczają się artyzmem, te troskliwie i umiejętnie zabezpieczają swe zniesienia, inne wystawiają je na zniszczenie, a są w tem wszystkiem stopnie doskonałości i odrębności niezliczone w całych szeregach żyjątek. W rachunek przyjąć tu trzeba temperament, lenistwo i pracowitość, niedbalstwo i skrzętność w przyrodzie, jak i w ludzkości.

Nikt nie zaprzeczy, że w przyrodzie całej jest porozumienie na podstawie wydawanych głosów i tonów, widoczne i łatwe do badania u ssaków i ptaków. To dar, zabezpieczający byt ogółowi, wszakże stopnie talentów bywają niezliczone w tych samych gatunkach. Widywałem sroki, kruki wyraźnie mówiące, papugi i szpaki rozmawiające z panami swymi do tego stopnia, że każdy musiał przyznać myśl u tych ptaków przy odpowiadaniu. Stopnie, sięgające aż do doskonałości, zaiste zasługują na badanie na wolności i w niewoli u spiewaków, nie tylko dla melodyi głosów, lecz i dla harmonii spiewu. Jedne z pamięci wyuczają się po kilka kawałków i wiernie odspiewują do ostatniej nuty, niekiedy powtarzając nawet ostatni, konający ton katarynki — drugie się sztucznego spiewu nauczyć nie mogą i w spiew mięszają własny, co wytwarza dziwną harmonię. Spiew sztuczny i talent naśladowania, przywiązanym bywa do gatunków, lecz i tu się osobniki odznaczają. Z tego samego zniesienia wychowują się upośledzeni i utalentowani, zupełnie jak w ludzkiej rodzinie.

Niech mi wolno będzie opisać zdarzenia, których byłem niejednokrotnie świadkiem.

Znałem w mych młodych latach Niemca, zamiłowanego ptasznika, z cierpliwością i wytrwałością podziwienia godną. Co miał funduszów, na ptaki wydawał, lecz też i zasoby znakomitych doświadczeń zdobył i jemu wiele wiadomości zawdzięczam. Jego ulubionymi ptakami i jak mawiał „uczniami“, zasługującymi na uznanie i zaszczyt, były gile; z nimi też lubował się w przedstawieniach. Wykształcał talent ich spiewu i pamięci do tego stopnia, że jego ptaki niekiedy 4—5 melodyj dokładnie odspiewywały, nie mieszając takowych, a poznawał jak dyrektor konserwatoryum stopień zdolności i wrodzonych talentów. Nieraz pokazywał mi gila mówiąc: „to nieuk“, lub „on nie ma talentu“ i po kilku tygodniach wypuszczał ptaki te na wolność, „artystów“ zaś, jak je nazywał, wysoko cenił. Niekiedy ptaka takiego po 100 zł. sprzedawał, i po każdej sprzedaży rzewnie żałował. Nader często na przedstawieniach gile nie chciały spiewać, na wezwania odpowiadały monotonnym głosem, że spiewać nie będą. Wtedy Niemiec stawiał klatkę na stół, w palce brał ćwiartówki jabłka lub jagody kaliny, i prośbami wzruszał ptaki, czułe na jego słowa. Mawiał: „Mój stary gilu, mój miły i kochany! patrz, panowie czekają, zaspiewaj im“. Gil, w złym humorze, napuszony, jednym tonem gwizdał niekiedy przez pół godziny, a Niemiec prosił bez przerwy z czułymi intonacyami i nareszcie każdy ptak, jak gdyby zrozumiał, o co go proszą, wyspiewał swoją melodyę po uporze, trwającym nieraz bardzo długo, co sprawdzałem z zegarkiem w ręku.

Posiadałem gila, naśladującego spiew makolągwy znakomicie, nawet z zaniedbaniem naturalnego; nikt byłby nie wierzył, że te tony wydaje gardziel gila.

Zdawałoby się, że na wolności każdy ptak swój spiew obowiązany wykonywać, a tym czasem bywa inaczej. Skowronki wydają czasem fletowe tony brodźców (kuligów) i mimowolnie słuchacz szuka po powietrzu znanego mu z bagien ptaka; sojka naśladuje szczekanie psów i lisów, wydaje najdziwaczniejsze tony, przypominające forkanie wiewiórki, krakanie i t. d. Talenta te są do indywiduów przywiązane i mimo wspólnego życia w tej samej części lasu, jedne naśladują, drugie pozostają przy swych tonach. Nawet w owadożernych spiewakach odkrywamy różnicę w spiewie i stopniu doskonałości.

Znane nam są głosy zwoływania i ostrzeżenia, nakazujące i trwożące, przez czaty wydawane. To wołanie „baczność“ rozumieją i inne gatunki, i w popłochu szukają bezpiecznego schronienia. Tak samo się ma z głosami, zwołującymi na biesiady.

Bywają także wspólne spiewy, rodzaj koncertów, odspiewywanych przez licznych wirtuozów, lecz tu badacz stopni doskonałości odkryć nie może, z przyczyny pomieszanych głosów. Jak u żab jest uznany kapelmistrz i jego zawsze słuchają, tak i u ptaków, żaden ptak się nie waży wydać głosu, zanim kapelmistrz melodyi nie zaintonuje. Czy to pożegnalny spiew, czy rozkoszny w zgromadzeniu licznem, czyli też hymn dziękczynny dla Stwórcy — trudno odgadnąć. Są to wszakże koncerta, które co roku słyszymy i nimi się cieszymy. Bywają harmonijne, bywają świergocące, a niekiedy chrypliwe, jak u szpaków. U gawronów n. p., głos, wydany przez naczelnika, musi być przez każdego członka zgromadzenia powtórzonym przy zrywaniu się, jak gdyby mówił: słyszałem i lecę na apel. Jaskółki miłe nam szczebiotanie przedstawiają w koncertach, nawet figlarne wróble z obydwóch gatunków, obowiązane swym chrypliwym głosem odspiewać nakazaną melodyę.

Prawdziwi spiewacy owadożernych ptaków, uposażeni z natury melodyjnym spiewem, te się nigdy nie gromadzą, (wyjąwszy gatunki trzciniaków); każdy swe solo odspiewuje. Łatwo rozpoznać młodych od starych wirtuozów i krocie stopni ku doskonałości. Ptaka spiewającego, nucącego najczęściej samiczce, słucha się uważnie i łatwo go podejść; również podsłuchuje rywala, kręcąc główką i gotuje się na spiewną odpowiedź.

U słowików współzawodnictwo zawzięte; gdy jeden skończył, drugi zaczyna i spiewa coraz głośniej, nareszcie w tem rozgorączkowaniu obydwa razem duet spiewają i ten został zwycięzcą, który pierwej zamilkł. Bywają całe noce przespiewane i pojąć nie można doskonałości budowy tego gardziołka, wydającego głośne tony przez kilka godzin i bez przerwy. Nasi fletowi spiewacy, dumcy leśni, bardowie pierzaści, spiewający miłość zapoznaną, lub raj utracony, głęboko smętne i melancholijne tony i melodye wyspiewują. Siedząc na szczycie wysokiego drzewa, nucą i spiewają, doskonalą się i spiew przedłużają, słuchając uważnie sąsiednich spiewaków. Oni to przy zachodzie słońca zamykają harmonię dnia ubiegłego, a badacz nie może się otrząść ze smętnego wrażenia, jakie mu sprawił ten spiew wieczornego *de profundis*.

Nuta czyli zarys melodyi, mającej towarzyszyć ptaszynie przez życie, naznaczona dla wszystkich, co potwierdza dostatecznie spiew ptaków, z gniazda w pokoju wychowanych. Spiewu swego nie zapomni ptaszyna i głosi już w pierwszem pierzu, wszakże częstokroć artyzm spiewanie to rozszerza i doskonali, nauka zaś często przeistacza, lecz tylko w części. Gdy spiewak, wyuczony na ludzkich melodyach, odzyska wolność, wtedy stopniowo zapomina sztucznego spiewu, a głosi swój własny, co nader często w ogrodach sprawdzałem.

Samce, przylatujące na ośm dni przed delikatniejszymi samiczkami, obrawszy, lub zdobywszy stanowisko, najgłośniej spiewają, dając znać ciągnącej samiczce o miejscu swego pobytu, a ona, widocznie znając intonacye, do swego, a nie do innego samczyka się spuszcza.

Głośni spiewacy, to znana ogółowi kapela, opisywana dostatecznie, lecz są krocie w zaciszu żyjących ptaków, które harmonią napełniają nasz słuch. Są to artyści, którzy jedynie dla wybranych spiewają i których wypada wypatrzyć i podsłuchać. Jak u naszych zamożnych, wykształcony talent służy rozkosznie rodzinie i blizkim, tak i u tych wirtuozów tajemniczo żyjących, ten spiew uroczy jest wyłącznie dla swoich i dla badaczów, sowicie wynagrodzonych za trudy, poniesione w podsłuchaniu i w odszukaniu spiewaków. Te spiewy ciche, *pianissimo* nucone, giną w dalszej odległości, a mieszczą w sobie rzeczywiście porywającą harmonię i w niej trylów bez końca, poprzeplatanych fagotowymi, to znowu fletowymi tonami, spiew to i szczebiotanie, a słuchacza spotyka często niespodzianka w wydanych tonach.

Pokrzewki śitówki, ogółowi prawie nieznane, brzęczą, świerszczą jak owady i wypatrzyć trzeba ptaka, aby uwierzyć, że to spiewa ptak, a nie owad. Rudogony mają szeroki repertoar swych melodyj, a gajospiewy wesołe, nucą harmonijnie w czasie porannym. U tych ostatnich największy mistrz spiewaków, nie tylko mile nas zajmuje własnym spiewem, lecz posiada szeroki talent naśladowania spiewu swych sąsiadów.

Wysłuchawszy te rozliczne kapele przyrody, obejmuje się dopiero myślą doskonałość, różnorodność, organizacyę tak szczegółowo wykończoną i ten ogrom przyrody ze swem życiem, prawami i zwyczajami żyjątek, tę olbrzymią maszynę, nie ustającą w ruchu od stworzenia świata.

Jakże to wielki stopień ciekawości wzbudzają w nas podróże i wędrówki ptaków, dla nich od wieków przeznaczone sposoby podróżowania i szlaki, dla rodzajów, grup i familii odrębne, te gościńce, zmieniające się stosownie do zmian atmosferycznych, a wszędzie niezachwiane posłuszeństwo i wykonywanie rozkazów. W głosach, które wówczas słyszymy, to nie czcza gadatliwość, lub wesołość rozmowy, to rozkazy, hasła i odpowiedzi. Naczelnicy, chcąc zmienić kierunek stada, nawołują również, gdy wypada podnieść lub zniżyć lot, dla lekkości oddechu i ułatwienia lotu. Żadne płuca nie wytrzymałyby dłuższy czas przodkowania w ciągu, to też co chwilę naczelnik luzuje przodkującego i umieszcza drugiego. W ten sposób każdy wędrowiec swój obowiązek wypełnia, nie męcząc się nad siły.

Przez długie czasy zajmowały mnie te podróże, rzemiennym dyszlem odbywane, jak to ongi czynili szlachcice, jeżdżąc od dymiącego się komina do komina i dobijając nareszcie do celu. I owe owadożerne ptaszyny, z krzaczka do krzaczka, z lasku w lasek, niby żerując, nucąc i wabiąc, posuwają się ku wschodowi, lecz widocznie to jest komenda organizacya, bo gdy pieszczoch lub pasibrzuch pozostanie zanadto w tyle, wtedy go napędzają. Zdarza się, jak to i u nas bywa, że ptaszyna straciwszy wytknięty kierunek, błądzi i spieszy za towarzyszami, okazując nam swój niepokój, że zostaje do zimy u nas, ginie, lub się przyczepia do spóźnionych wędrowców.

Organizacyę podróży i przygotowania do niej najdokładniej nam pokazują jaskółki dymówki, przypomina-

jąc wymarsz korpusu wojska. Gromadzą się one pomału, rodziny pojedyńcze, lub kilka razem, przylatują na plac wymarszu, świergotaniem głośnem zapowiadając przybycie i poddają się postanowionym naczelnikom, których poznajemy po komendzie głośnej i pierzu doskonałych ptaków. Czy to na drutach telegraficznych, czy na dachach, czy wreszcie na drzewach ogołoconych z liści — zasiadają setki jaskółek i to spędzane bywają wszystkie do manewrów ogólnych, to znowu oddziałami, jak do wypróbowania siły i bystrości lotu. Naczelnicy zawabiwszy, zrywają się, a za nimi stado — i poczyna się wirowanie w powietrzu, męczące niemal oko. Takie przygotowania trwają kilka dni, niekiedy przez cały tydzień, i nareszcie jak świst konduktora pociągu, głośne zawabienie pędzi w podróż stado. Nie śmiem tu stawiać jako pewnik, że te stada jeszcze u nas odpoczywają, lecz mi się tak wydawało, gdy widocznie zmęczone ptaki spostrzegałem siedzące. Prawdopodobnie dopiero pod górami wznoszą się do potrzebnej wysokości i już się nie spuszczają, aż za morzem.

Krocie sposobów mają ptaki do odbywania podróży; jedne żerując, posuwają się, inne podnoszą się do atmosfery do lotu potrzebnej i już na ziemię nia powracają, jedne widzialne, drugie niewidzialne, zdradzające się głosami z wysokości nam przysłanymi, jak na pożegnanie. W zadziwienie nas wprawiają ptaki, ciężkie do lotu, jak: przepiórki, chróściele, wodniki, kurki, nurki i t. d. Pojąć nie można, jaką siłą one wprawione do lotu zostają. W czasie odlotu, w nocy księżycowej, widujemy te ptaki, podnoszące się, krążące i wirujące coraz wyżej pod niebiosy, lecz to osobniki, i do tej chwili nie słyszałem o miejscowościach gromadzenia się tych pojedyńczych podróżnych. Przepiórki podnoszą się wieczorami i odlatują częstokroć licznymi hurmami, chróściele się gromadzą po kilka i kilkanaście razem, lecz gdzie nurki swych towarzyszów odszukują i inne ptaki, pojedyńczo rozpoczynające podróż?

Arabi twierdzą, że drobne owadożerne ptaszęta na grzbietach bocianów, żurawi, dropi, czapli i t. d. morze przebywają, nawet w dwóch niemieckich rozprawach o tem zjawisku się rozpisują, potwierdzając spostrzegane siadające i zlatujące drobne ptaki, po strzałach wymierzonych do dropi. Wątpić tu nie można, gdyż przyroda jest dobroczynną matką, troskliwie dbającą o swe żyjątka, lecz w tej sprawie niestety, nie mamy dostatecznych dowodów. Jakby ptaszęta doganiały w locie duże ptaki, trudno pojąć, a na siedzących i żerujących, które tylokrotnie badałem przez lunetę, nie było nigdy owadożernych; z własnego więc doświadczenia nic nie mogę przytoczyć.

Na zakończenie wyjątkowe zdarzenie opisać tu muszę. Włościanin wychował kaczora krzyżówkę i jedenaścioro gęsi rolnych. Ułaskawione z ręki pokarm przyjmowały, w dzień bujały po łanach i łąkach, wieczór zaś wracały na podwórze. Koło połowy października kaczor znowu odbywał swe ewolucye pod firmamentem, coraz wyżej i wyżej, nareszcie z widnokręgu znikł wraz z gęsiami na wielką zgryzotę właściciela, i już nie powróciły. To też była upajająca niespodzianka, gdy 15. kwietnia drugiego roku wdzięczne ptaki na podwórze zapadły i oczywiście zamknięte zostały.

(C. d. n.)

MYŚLIWSTWO PANA HELIODORA.

Szkic z natury.

Nie każdy ma to szczęście, ażeby przyszedł na świat z trzypiątrową kamienicą, albo z bezdzietnym stryjaszkiem mydlarzem, który nie wie, komu majątek po śmierci zostawić. Miał wszakże to szczęście p. Heliodor Mydełkiewicz, któremu nadto, przy pomocy głów cukru ze sklepu ojcowskiego i świec z fabryki stryjowskiej, udało się zyskać światło wiedzy, tj. przejść przez gimnazyum, zdać maturę i absolwować prawa w celu rozpoczęcia świetnej karyery urzędniczej.

— Jesteś ładny, masz pieniądze, kłaniaj się tylko zawsze przełożonym, a kto wie, do czego doprowadzisz? — mawiał ojciec do jedynaka. — Starostą będziesz, jak amen w pacierzu, radcą namiestnictwa także, czemu nie, i to po ludziach chodzi, a może nawet namiestn...

Lecz tu krztusił się stary Mydełkiewicz, bo chociaż wierzył w nieprzepartą moc piękności, majątku i giętkiego karku, przecież tak daleki awans zdawał się już i jemu zbyt awanturniczym.

— Oj, oj! — mówiła matka, która, jak zwykle kobieta, żywszą miała wyobraźnię — wielkie rzeczy! A choćby został i ministrem! Czy mu to nie wolno? Piękny jak malowanie, a rozum! a rozum!...

I mówiąc to całowała jedynaka i wtykała mu w rękę ukradkiem parę guldenów na rozrywki.

Ale szczęśliwi rodzice nie doczekali się syna na wysokiem stanowisku, a stryjaszek także przeszedł się na drugi świat jak po mydle, i Heliodorek został sam, młodzieńcem pełnym nadziei i pełnej kieszeni, a praktykantem w namiestnictwie.

Pięknym bo też był niecnota okrutnie! Kasztanowatolniane włosy zapiekał z wielką sztuką, na wąsy sprowadził sobie osobną opaskę, którą się na noc pod nos obwiązywał — a nos ten bąbelkowaty miał wiele wyzywającego wdzięku — oczyma niebieskimi o maślano-czułym wyrazie flirtował wszystkie kobiety z siłą nieprzezwyciężoną — a w głowie, opartej na wysokich lśniąco-białych kołnierzykach i w całej postawie tyle miał godności, że odrazu można w nim było praktykanta namiestnictwa odgadnąć.

Wszyscy koledzy, których na śniadańka do Mańkowskiego zapraszał, przepowiadali mu wielką przyszłość, ale cokolwiek inaczej oceniło jego wielkie zasługi prezydyum namiestnictwa. W tej nieludzkiej instancyi oceniono, że pan Heliodor zbyt wiele czasu na śniadania a zbyt mało na biuro poświęca, i pewnego pięknego poranku przeniesiono go do starostwa w najbardziej zapadłem mieście powiatowem.

Straszny to był cios, ale męska dusza, pnąca się po szczeblach karyery, musiała go wytrzymać. Śniadańko

pożegnalne trwało trzy dni — i pan Heliodor zniknął z powierzchni miasta Lwowa.

Ale zato wypłynął na powiecie — i jak wypłynął! Panny nie mogły się oderwać od okien, gdy przechodził pierwszy raz przez ulicę. Lśniący cylinder na głowie, na nogach szpiczaste lakierki, jasno-popielate, prążkowane spodnie, biała kamizelka z ciężkim łańcuszkiem na obie strony, plastron lśniący krochmalem brylantynowym, kołnierzyki nieco odgięte koło ogryzka adamowego, a krawat — no, świat się kończy! Jakgdyby go geniusze eterycznymi rękami na wacie wiązały i perełką w brylanciki oprawną przetknęły.... Duże, złote spinki z monogramami u mankietów, śliczna trzcina z srebrną gałką i medalem św. Jerzego, świeże rękawiczki jasno-rakowego koloru, ciemny żakiet z najszlachetniejszego kangarnu z chusteczką o niebieskim szlaku, wystająca z bocznej kieszeni — a na to wszystko jasno-grochowa zarzutka, odchylona i ukazująca ciemniejsze podbicie jedwabne — oto postać naszego bohatera, gdy się ukazał na ulicach powiatowego miasteczka.

Że pan Heliodor zaimponował całemu miasteczku i że wkrótce znalazł przyjaciół, a nawet stał się przywódzcą miejscowej złotej młodzieży — to rozumie się samo przez się. Mniej sympatycznie patrzył się na niego pan starosta. Nie ufał jakoś, aby pan Heliodor mógł się stać podporą ciężkich jego prac rządzenia i zachodził w głowę, czem się mógł narazić Jego Ekscelencyi, że go w taką „siłę roboczą“ ubrała.

Między trudami rządzenia, sprawy podatkowe i asenterunkowe zajmują naczelne miejsce, od nich bowiem zawisł dobrobyt ludzkości. Takich spraw nie daje się też lada jakim praktykantom. Dla nich wystarczą himeryczne sprawy kultury, jakieś spory wodne, przekroczenia polowe lub pertraktacye szkolne, bo tymi może się starosta całkiem nie zajmować, i na złą notę nie zasłuży.

To też jedną z najpierwszych spraw, jaka się pięknemu p. Heliodorowi do referatu dostała, były licytacye polowań gminnych.

Na terminie stanęli wójci odnośnych gmin, przyszedł także jakiś kolonista, od którego czuć było kłusownictwo na pięć kroków, jakiś pisarz gminny, który w wolnych od urzędowania chwilach, jeśli nie pisał chłopom skarg o obrazę honoru, handlował do spółki z arendarzem szmatami, kośćmi, pierzem, skórkami i zwierzyną, i jakiś nauczyciel ludowy *antiquae educationis*.

Już miał p. Heliodor przyjąć najwyższą ofertę kolonisty gdy wtem przebiegła mu przez głowę myśl genialna.

— A dlaczegobyś ty Heliodorku — rzekł w duchu do siebie — nie miał mieć własnego polowania? To sport pański, sport elegancki, sport, który może cię zaprowadzić daleko. Wszakże sam widziałem pana ministra rolnictwa w nabijanych ciżmach i pończochach styryjskich, w lodenowej kurtce i w kapeluszyku z giemzią bródką... A pan minister dla Galicyi? Także jeździ na dworskie polowania i strzela jak nic do zajęcy... Boska myśl, tak jest! Trzeba zostać myśliwym *comme il faut* i karyera za kark złapana.

Wszystkie te myśli przebiegły mu przez głowę jak iskry elektryczne, a że był człowiekiem czynu, oświadczył natychmiast, że po 5 i 7 zł. za mało rocznego czynszu za polowania, że on gmin krzywdzić nie pozwoli, że on sam daje dwa razy tyle i natychmiast polowania wydzierżawia.

Wójcia poskrobali sie w głowę, bo widocznie ominął ich poczęstunek, z góry już przez kolonistę zapewniony, ale musieli się okazać wdzięczni za opiekę nad dobrem gminnem, więc pocałowali w rękę „pana komisarza“ i odeszli.

Tak pan Heliodor przyszedł do „własnych polowań“ i uczuł się nagle o cały sążeń wyższym na drabinie społecznej hierarchii.

Lecz co u licha zrobić z tymi polowaniami? Pan Heliodor nie miał strzelby w ręku. We Lwowie dość mu było festynów, rautów, balów, five-oclocków i tingel-tanglów, więc nie przyszedł mu na myśl sport łowiecki. Teraz dopiero spadła na niego ta wielka idea, i trzeba się było do niej zastósować.

Kto piękny i ma pieniądze, temu wszystko łatwo. Pan Heliodor uzyskał więc trzydniowy urlop, wybrał się cichaczem do Lwowa i tam prosto z kolei zaszedł do Dzikowskiego, ażeby się we wszystkie przybory myśliwskie zaopatrzyć.

Zaczyna się od dubeltówki, to fraszka, jedna lankastrówka lżejsza, na błota, kal. 16, lufy Damast-Birmingham, lewa choke-bore — druga teschnerówka do kniei — jeden ekspres podwójny, kal. 500, bo może się także przydać — pas na ładunki, osobno torba, kordelas myśliwski, manierka, trąbka, świstawka, harap, próżne patrony, gotowe patrony, maszynka do nabijania, puszki z prochem, śrótem, przybitkami, likier myśliwski, (także się może przydać), kapelusz z cietrzewim ogonkiem, czapka myśliwska, białe buty filcowe, kamasze na błota, wabiki, kurtka lodenowa, rękawice, laska na stanowiska, para rogów jelenich, kilka par sarnich, skóra z dzika pod nogi, nóż z łyżką i widelcem, puszka do grzania bigosu, futerały na broń, baszlik, zarękawek itd. itd.

Phu! Pan Heliodor dużo pieniędzy wydał, ale już był myśliwym. Żeby tylko wiedzieć, jak się to nabija i strzela?

Na szczęście zaproponował p. Dzikowski, żeby broń wypróbować do celu, siadają więc do dorożki i jazda na strzelnicę.

Dzikowski nabił dubeltówkę jednę, drugą:

— Proszę pana dobrodzieja!

P. Heliodor bierze z wspaniałą miną broń do ręki, przykłada łoże do policzka, zamyka oczy dla bezpieczeństwa... bęc!

Lufa skoczyła do góry, śrót wybił Panu Bogu szyby, a pan Heliodor z przestrachem na twarzy, z policzkiem zaczerwienionym, zwraca się ku mistrzowi broni i zdaje się wyłupionymi na wierzch oczami pytać: Co to?

— Co? kopnęła? kopnęła? Trzeba mocniej trzymać, panie dobrodzieju, mocniej trzymać, o tak!

I p. Dzikowski, zmiarkowawszy z kim ma do czynienia, daje lekcyę nabijania, składania się, strzelania, podczas gdy p. Heliodor, umoczywszy chustkę w wodzie, trzyma ją na nabrzmiałym od „kopnięcia“ policzku.

No, nie wielka sztuka! Policzek przez noc się zagoił, panu Heliodorowi zaproponowano jeszcze legawca wybornego — i po trzech dniach wrócił na powiat z psem i arsenałem — skończony Nimrod.

Była to druga połowa czerwca. Uprzejma ustawa łowiecka pozwala już polować na kaczki i wszelkie ptactwo wodne — choć właściwie o tej porze jeszcze i podlotów nie widać — ale o łaskawości ustawy nic nie wie pan Heliodor, bo w studyach swych administracyjnych nie przyszedł jeszcze na nią — i ani mu się śniło, że istnieje jakiś czas ochrony zwierząt łownych. Postanowił wyjść i strzelać — mniejsza o to co — byle strzelać, dużo huku narobić i wejść w posiadanie własnego polowania.

To „własne polowanie“ rozciągało się w trzech gminach sąsiednich, tuż pod miastem. Było tam trochę chudych pastwisk z lejkowatymi bagienkami, trochę pól ornych i trochę krzaków, które w mapach katastralnych figurowały jako gminny „ekwiwalent“ lasu.

Pan Heliodor czytał coś kiedyś o błotnych polowaniach, wiedział, że się do tego ludzie pasyonują, postanowił więc pewnej niedzieli na „swoich błotach“ zapolować. Co tam znajdzie — nie był całkiem pewnym — może słonki, może „bekasy“ — bo o „bekasach“ piszą dużo w różnych powieściach — może dzikie kaczki? Chwilami zdawało mu się, że i cietrzew jest rodzajem bekasa, ale nie był całkiem pewnym, i nie chciał się pytaniami kompromitować. Koniec końców powiedział sobie: „Wszystko dobre! Co na placu to nieprzyjaciel — byle strzelać!“ — i wyruszył wczesnym rankiem na pastwiska, zabrawszy z sobą „Trezora“, za którego jako za „znakomitego legawca angielskiego“ znakomicie zapłacił.

Choć to był dość wczesny poranek, była przecież jedna osoba, która jeszcze wcześniej wstała i z ogródka przed domem, w uroczym negliżu, myśliwską wyprawę pana Heliodora podziwiała.

Była to panna Niusia (bardzo logicznie skrócone imię Karoliny), córka pana inspektora podatkowego, bezsprzecznie najpiękniejsza w mieście panna, której pan Heliodor miał już zaszczyt być przedstawionym.

Oboje się zarumienili spojrzawszy na siebie: panna Niusia ze skromności, że ją wzrok męszczyzny tak niespodziewanie (?) w negliżu wyśledził — pan Heliodor zaś z dumy, że go ujrzano po raz pierwszy w rycerskim kostiumie myśliwego i że go mianowicie tak piękne czarne oczka ujrzały. Wyprostował się z godnością i złożył ukłon zarumienionej piękności.

A wyglądał — wyglądał — jak chodząca pokusa! W jasnym garniturku, w płóciennych kamaszach, w kapeluszyku myśliwskim, pas ze stoma ładunkami w około, przez ramię torba myśliwska, na krzyż manierka, na piersiach świstawka na psa, na ramieniu lankastrówka, przy torbie klucz do wyciągania ładunków i jeszcze kilka artykułów myśliwskiego arsenału...

Panna Niusia westchnęła i dopóty przez gałęzie bzu patrzyła za wspaniałym Nimrodem, dopóki nie zniknął na zakręcie uliczki.

A co za cudowne zwierzę ten „Trezor“, co za ogień! Wybiegał naprzód i wracał, skakał ku swemu panu, przysiadał i szczekał, jakiegoś zabłąkanego prosiaka chwycił za ucho, cztery gęsi rozprószył w potężnych lansadach — tak, że pan Heliodor nie mógł się nadziwić, co to za pies doskonały, jak prędko biega i jaki ma ozór czerwony.

Nic to jeszcze w ulicach miasta, lecz gdy wyszli na pole, dopiero Trezor zaczął hulać. Skowronka z bruzdy wypłoszył i dalej-że to za jednym, to za drugim, jak w cyrku. Panu Heliodorowi zaczęło się zdawać, że to niezupełnie w porządku, przypomniał sobie, iż pies legawy powinien właściwie iść za nogą, chwyta więc świstawkę i śwista. Ale gdzie tam! Trezor staje, słucha, ogonem marda, i dalej znów w lansady za skowronkami. Pan Heliodor przebacza mu, cieszy się, że pies ma taki ogień i „wiatr“, podziwia w nim rasę — i on na swoją rękę, a pies na swoją nogę, zaczynają każdy z osobna polować.

Przypadek chciał, że zbliżyli się równocześnie do największego bagienka. Pies zziajany chlusnął między szuwary żeby chlipnąć wody, gdy wtem — kwak-kwak, i ciężkim lotem zerwał się kaczor. Pies zdziwiony zadarł łeb do góry i szczeka, pan Heliodor zdejmuje dubeltówkę, chwyta naboje, wsadza... kaczor zaś znika na tle błękitu.

— Szatan nie ptak — mruczy pan Heliodor — lata jak błyskawica. Gdzie tu strzelić? Chyba to orzeł...

Lecz nauczony doświadczeniem odwiódł kurki, trzyma strzelbę w ręku i idzie. Na krzaczku przysiadł paszkot i świerka. P. Heliodor zmierzył się, dla bezpieczeństwa dość daleko od twarzy, „wygarnął“ raz i drugi — paszkot poleciał dalej — ale uczucie zadowolenia i bohaterstwa napełniło piersi naszego myśliwego. Nawet pastuszki zerwały się na równe nogi, postawały rzędem z patykami w ręku i podziwiają bohatera.

Trezor spędził znowu skowronka, pan Heliodor myśli sobie: „To także zwierzyna“ — podbiega, składa się, ciągnie i ciągnie za kurek — nic. „Tfu! już się zepsuła!“ mruczy nasz Nimrod. Gdzie tam, zapomniał nabić i kurków nie naciągnął. Doświadczenie jest najlepszym nauczycielem, słucha go więc pan Heliodor, nabija, naciąga i w samą porę.

— Kuropatwy — szepnął, widząc stadko ptaków.

Było to stadko szpaków. Żerując między bydłem, podlatywały jak na komendę, zataczały krótkie łuki i znów zapadały.

Pan Heliodor podkrada się, przyklęka — kroków z ośmdziesiąt — bęc!

Szpaki zerwały się i szczezły, ale równocześnie zerwała się i krowa, podniosła ogon do góry i pędzi jak wściekła. W gromadce pastuchów wszczął się przeraźliwy krzyk i lament. Gdzieś ode wsi leci chłop sążnisty, za nim baba. Chwytają wściekłą krowę. Chłop przypada z gniewem, odgraża się i chce brać strzelbę, lecz wtem poznaje „pana komisarza“.

— O co chodzi, co się stało?

— Ta krowę pan postrzelili, jeszcze zdechnie.

Rozpoczynają się oględziny. Kilka śrótów weszło krowie pod skórę, nic niebezpiecznego, ale baba płacze, chłop pomstuje, pan Heliodor wyciąga więc piątkę, wciska ją babie do ręki i zmyka.

Tak wśród rozmaitych emocyj, przeplatanych koniakiem z manierki i wędliną z torby myśliwskiej, przechodzi czas aż do czwartej popołudniu, a pan Heliodor, nie zabiwszy nic wprawdzie, wynosi przecież tę wielką zdobycz doświadczenia, że trzeba trzymać strzelbę z odwiedzionym kurkiem, bo prędzej można wystrzelić.

Wypada wracać do domu. Trezor, zmachany polowaniem na własną nogę, ledwie się wlecze, a p. Heliodor zarzuciwszy strzelbę na ramię, idzie za nim.

Już wchodzi do miasta, już się zbliża ku domowi pana inspektora podatkowego, gdy panna Niusia w uroczej sukience z niebieskiego bareżu, znowu całkiem niespodziewanie (?) stoi w ogródku i zrywa różę.

Oczy ich się spotykają.

Pan Heliodor sięga do kapelusza i przechyla się z wdziękiem do ukłonu. Nagle — brym! cały nabój lankastrówki leci mu w górę z ramienia. Rzeczywiście kurki były naciągnięte, a gdy się przechylał i wyprostował, zawadziły o rzemień torby.

Panna Niusia mdleje i pada — pan Heliodor oprzytomniawszy, biegnie na pomoc, Trezor patrzy zgłupiały w górę i szczeka, bachory żydowskie uciekają z krzykiem, a pijany policyant leci na strażnicę i zaczyna bębnić.

Całe miasto wie już, że „pan komisarz“ jest myśliwym, dodaje, że z zazdrości zabił córkę pana inspektora — huczy wzburzone — a pan Heliodor wraca hyłkiem do domu i rozpamiętywa pierwszy dzień swego myśliwskiego zawodu.

(Dok. nast.)

ŁOWIEC POLSKI W INDYACH.

(Ciąg dalszy).

Jeszcze do d. 27. marca przebywał hr. Józef Potocki gościną u pułkownikostwa Gerardów w Goonie, a oto ustęp z dziennika tych dni ostatnich.

„23. marca. Piękny dzień polowania. Pod komendą Gerarda ruszyliśmy konno do miejscowości Chipon zwanej, której dotąd jeszcze nie spolowaliśmy. Zwykłym pułkownika obyczajem przebyliśmy 12 mil ostrym galopem od miejsca do miejsca. Najładniejsza to okolica obok Goony, którą dotąd widziałem. Góry tu poważne a wysokopienne drzewa nadają dżungli cechę górskiej kniei w naszem słowa pojęciu. Na mą prośbę, zniesiono na dziś klauzulę pierwszego strzału do pantery.

W pierwszym miocie urocze miałem stanowisko nad łożyskiem rzeki w miłym cieniu olbrzymich tamaryndów i akacyj. Przedemną piętrzyła się naga, pionowo obcięta skała granitu, naokoło gąszcz nieprzebyty. Ludzie daleko mieli zachodzić, miot obiecywał być długim, rozsiadłem się przeto wygodnie w szerokich drzewa konarach, rozkoszując przyjemnym chłodem w cieniu. Brałem się powoli do nabicia sztućca, gdy podniósłszy przypadkiem oczy, ujrzałem wprost przed sobą stojącego na skale jelenia Sambura. Stał jak posąg ze spiżu na samym szczycie głazu z łbem podniesionym, rogami w tył rzuconemi i nie przeczuwając niebezpieczeństwa, namyślał się widocznie, którędy zejść do wody. W tym celu tu przyszedł nie ruszony obławą. Pyszny był widok królewskiego zwierza, który na jasnem tle nieba czarnym się całkiem wydawał. Nie było więcej jak 100 kroków odemnie, naciągnąłem kurki i powoli jak do celu strzeliłem. Wspiął się dęba, jak piorunem rażony i w tył się przewrócił. Słyszałem raczej niż widziałem, że upadł, runął bowiem na drugą stronę skały. Naganka znalazła go u stóp skały, nieżywego, z kulą w krzyżach. Niestety, staczając się po twardych kamieniach, jeden róg sobie odbił.

Nieraz w ciągu niniejszych notatek wspominałem z entuzyazmem o tym ślicznym gatunku jelenia, ucieszyłem się też niemało piękną trofeą myśliwską. Sambur (nazwa wzięta z hindustańskiego języka i przez Anglików przyjęta) po łacinie Cervus vel Russa Aristotelis, do naszego jelenia podobny, jest od niego w ciele szerszy i silniej zbudowany, kark ma krótszy, łeb większy i cięższy, słuchy dłuższe, pod karkiem broda jak u łosia, włos ciemno-rudy, u starszych jeleni, jak u mojego naprzykład, niemal w czarny kolor przechodzący. Kształt rogów odmienny nieco, niż u naszych jeleni, nie bywa nigdy więcej nad cztery rosochy, z których dwa u samego dołu, a dwa u góry są umieszczone i w grubości nie ustępują średniemu karpackiemu rogalowi. Zabity przezemnie jeleń liczyłby się szóstakiem, choć w długości i grubości rogów niejednemu dwunastakowi się równa. Sambur jest największym z indyjskich jeleni, nie wyjmując kaszmirskich i himalajskich gatunków, jedynie Cervus affinis Tybetu go przewyższa. Dotąd naturaliści nie mogą się zgodzić, czy Sambur rogi zrzuca regularnie co roku, czy też nie; myśliwi, o ile słyszałem, pierwszego są zdania.

Podczas drugiej obławy niemałą emocyę sprawiły mi małpy swem ochrypłem szczekaniem, będącem nieomylną oznaką, że tygrys lub pantera jest w miocie. Małpa jest śmiertelnym wrogiem każdego felida; skoro na gałęzi siedząc spostrzeże tygrysa lub panterę, zaczyna głośno szczekać, zbiega się całe stado i z drzewa na drzewo skacząc i ciągle naszczekując idą w ślad za zwierzem, jakby ostrzegając resztę towarzyszów a zarazem i myśliwego, że zbliża się leśny rozbójnik. To też ten krwawo się mści za nieproszone szpiegowstwo, ciągle bowiem spotyka się niedojedzone resztki biednych małp, zjedzonych przez pantery.

Tym razem ledwo obława ruszyła, rozległo się głośne małp nawoływanie wprost przed mem stanowiskiem i to oddalało się w bok, to napowrót zbliżało. Pantera, gdyż nie przypuszczam, by to był tygrys, wahała się widocznie w obiorze kierunku drogi, po chwili jednak małpy umilkły, pantera albo musiała wleść do jaskini albo niepostrzeżenie bokiem wymknąć się z miotu przed nieznośnymi szpiegami, na linii bowiem strzelców nikt jej nie widział. Tymczasem straciłem łatwy strzał do hyeny, która truchtem na 20 kroków koło mnie przeszła, lecz słysząc małpy, nie chciałem strzałem do podlejszego zwierza zepsuć możliwości pięknięjszej zdobyczy. W następnym miocie znowu nam pantera figla spłatała. Wyszła między mną a Gerardem, tak niepostrzeżenie między skałami i wysoką trawą jak wąż się przemykając, że ani pułkownik, ani ja nie dostrzegliśmy jej, zoczył ją tylko „szikari“ z tyłu o 50 kroków dalej na drzewie siedzący, jak z trawy do gąszczu wpadała. Nie mamy szczęścia z panterami, jest ich dużo, ciągle je spotykamy, lecz na strzał dotąd żadnej nie miałem.

Okrutna hurma małp z 50 sztuk z górą wypadła pod me drzewo w tym miocie. Przodem szedł, niby wódz, małpi patryarcha z siwemi bakenbardami, za nim reszta jak z worka się sypała. Nie widząc mnie siedzącego na drzewie, zebrały się tuż pod nim w kupkę i poczęły gwarzyć i kłócić się między sobą, nasłuchując krzyków obławy, jakby się naradzając, co dalej robić. Ruszyłem się umyślnie na drzewie, stanęły wszystkie jak jeden mąż na łapach i zaczęły na drzewo zaglądać; pierwsza dostrzegła mię młoda małpka i ze strachem na grzbiet matki wskoczyła. Był to sygnał do ucieczki, z wyrazem panicznego strachu na śmiesznych fizyognomiach rozbiegły się w nieładzie.

24. marca. Bezskuteczny dzień polowania, bez szczególnych epizodów. Gorąco się wzmaga, dziś na ganku przed domem termometr 47° R. wskazywał. Na polowaniu lufy strzelby tak się rozpalają, że ich ręką niemal dotknąć nie można. Najgorzej, gdy wypadnie stanowisko na skale, albowiem promienie słoneczne odbijając od rozpalonego kamienia, podwójnym palą żarem i stoi się jak w łaźni tureckiej. Pod bluzą myśliwską na krzyżach nosić trzeba wałek filcowy, na ćwierć cala gruby, by nie uledz porażeniu kości pacierzowej, niemniej niebezpiecznemu niż głowy. Ostatecznie jednak, gdy się gorąco znosi, łatwo się przyzwyczaić; co do mnie przynajmniej, nie mogę się skarżyć, bym kiedykolwiek w Indyach cierpiał od upału.

25. marca. W braku polowania zrobiliśmy śliczny spacer konny do ruin starego zamku, dawnego siedliska jakiejś wygasłej dynastyi hindustańskich Maharadżów. W romantycznej miejscowości, w głębi dzikiej dżungli nad brzegiem rzeki położone, dotąd zachowały się mury i bastyony w doskonałym stanie; dzisiaj ruiny te są ulubionem siedliskiem pawi, mnóstwo ich siedzi na rozpadłych gruzach, w cudnem upierzeniu, jaśnieją jak klejnoty na ciemnem tle murów.

Jadąc, Gerard co chwila wskazuje mi tę lub owę knieję: — „Tu zabiłem tygrysa“, „tam padło ich dwa w jednym miocie“, „tu tygrys zagryzł człowieka“ i t. d. Dzisiaj tygrys niestety rzadkością, za kilkanaście lat może zniknie zupełnie. Mówię tu naturalnie tylko o Goonie i okolicy, w innych bowiem miejscowościach jest ich jeszcze podostatkiem. Mając charty z sobą, poszczuliśmy wracając szakala i po długim i nader emocyonującym galopie wzięły go psy w załomie skały. Bronił się do upadłego, musieliśmy sami go dobić kijami i kamieniami, gdyż mu psy rady dać nie zdołały. Psy, które mieliśmy ze sobą, były to dwie smycze arabskich chartów, które pułkownik z końmi z Bagdadu sam przyprowadził; psy rącze, lecz słabe i niewytrzymałe, mniejsze od naszych tak zwanych polskich chartów, włos mają krótki rudawego lub czarnego koloru.

26. marca. Nareszcie w ostatni dzień mego pobytu w Goonie, św. Hubert łaskawszym okazać się raczył. Rano jeszcze nie było nic postanowionego co do polowania, przed samem południem dopiero przysłał mi jeden z oficerów słówko z zapytaniem, czy nie chcę przejechać się konno i wziąść kilka miotów o parę mil od Goony, w miejscowości, gdzie już polowaliśmy kilka razy przedtem. Nie mając nic lepszego do roboty, pospieszyłem na wezwanie. Gerard został w domu, mając zajęcie kancelaryjne, ruszyliśmy we dwójkę, porucznik B. i ja; ludzie i obława już czekali na nas, wzięliśmy dwa mioty, lecz próżnemi się okazały. Jeszcze jeden miot i mamy wracać do domu. Z dwóch stanowisk, na los szczęścia sam sobie swoje obrałem, na grubym pniu nieznanego mi drzewa indyjskiej flory, o białej jak mleko korze i ogromnych liściach. Stanąłem sobie na konarze i sznurem się dla pewności ruchów do pnia przywiązałem. Drzewo wyrastało w skalistej szczelinie, podemną w dole, w głębi ciemnego wertepu, szemrał w cieniu mimozy i jaśminu górski potoczek; na lewo piętrzyła się skała granitu, na prawo odkryty pagórek, dalej gąszcz. Obława ruszyła, rozległ się zwykły hałas tam-tamów i dzikie wycie Hindusów, wobec których najgłośniejsze ryki naszej nagonki symfonicznym koncertem się wydają. W dole nad strumykiem przemknął mangust (Hespertes griseus), dziwne zwierzątko, trochę do kuny, trochę do wydry podobne, z puszystym ogonem. Mangust tem jest ciekawy i w historyi naturalnej z tego znany, że gadzinami się żywiąc, węże dusi i pożera; jest to jedyne stworzenie w przyrodzie, któremu zabójczy jad Cobry capelli nie szkodzi.

Po chwili szakal przebiegł pod mem drzewem, gdy wtem pies z puszczonej w miot psiarni, odezwał się raz, potem drugi; zdawało mi się, że usłyszałem jakby mruknięcie grubego zwierza, lecz się nie powtórzyło i znowu cisza zaległa. Obława była już blisko i mogłem już dojrzeć linią ludzi od lewego skrzydła się zbliżających. Myślałem już o wyjęciu ładunków ze strzelby, gdy raptem, na prawo, gąszcz z trzaskiem się rozwarł i pantera w susach wypadła na otwarte miejsce o 15 kroków od mego drzewa. Za szybko pierwszy raz strzeliłem, potknęła się wprawdzie po strzale, lecz gniewnie mruknąwszy, dalej sadziła. Spokojniej z drugiej lufy wytrzymałem — po drugiej kuli rulowała jak zając, lecz z szybkością błyskawicy na nogi się podniosła i z potężnym rykiem, który donośnem echem o skały się rozbił, wpadła w gąszcz nim zdołałem nabić strzelbę nanowo. Dawszy znak świstawką, że pantera wyszła z miotu, zlazłem spiesznie, by miejsce strzału obejrzeć, farby było podostatkiem. Chyba nam tym razem nie ujdzie!

Ludzie się zbiegli, kilku tchórzy chciało po słonia posyłać, lecz nie było czasu do stracenia, słońce miało się ku zachodowi, należało nie zwlekając iść po tropie. Szedłem pierwszy między dwoma żołnierzami z pikami w ręku, za mną Grant i kilku żołnierzy. Znowu chwile niesłychanego wzruszenia, groźne aut, aut, dla mnie tem większa emocya, że postrzałek z mojej ręki. Puszczono pieski na trop, lecz nie smakowało im to jakoś, bo udawały, że śladu nie mogą odnaleść i bokiem się rozbiegły, chociaż farba jasną smugą się przed nami ciągnęła. Uszliśmy nie więcej nad kilkadziesiąt kroków, gdy jeden z odważniejszych piesków, który się był naprzód wysunął, zaskowyczał żałośnie w krzaku korindy o 6 kroków przedemną. W tej chwili rozległ się ochrypły ryk, który mi dotąd brzmi w uszach i pantera wysunęła łeb na sztych z pod ciemnego krzaku. Obie me kule ją przywitały; skręciła się w kłębek, zwinęła na miejscu i w ostatnich podrygach rozciągnęła przed nami. Pierwszą mą kulę, po której wspomniałem, że się potknęła, miała w przedniej łapie, drugą śmiertelną w komorze, ostatnią we łbie; obok pod krzakiem leżał piesek z rozdartym bokiem, ofiara swej odwagi. Jemu zawdzięczamy, żeśmy wprost na postrzelonego zwierza nie weszli, chociaż tak był ciężko strzelony, że nie byłby w stanie rzucić się z impetem. Pyszna sztuka, 8 stóp mierzy, jak mały tygrys niemal.

Pozłaziwszy z drzew zbiegli się Hindusi. Zaczęły się między nimi okrzyki podziwu na widok leżącej pantery, opowiadania, że temu zjadła krowę, temu kozę zabrała, prośby o bakszysz i t. d. Każdy się chwalił, że on pierwszy dał o niej wiedzieć i t. p., trochę, jak u nas na Polesiu lub Białorusi, gdy się niedźwiedzia rozciągnie. Dziwny to naród, tchórze, że większych nie widziałem, gdy zwierza zobaczą, a pomimo to bezbronni idą do obławy na tygrysa, co nie należy do najbezpieczniejszych rzeczy. Chęć zarobku strach przygłusza; do naganki idą, lecz aby się zwierz choćby o pół mili pokazał, panicznie, dziecinnie się go boją.

W tymże miocie obławnicy utłukli kijami w skałach ogromnego węża, gatunek „pythona“, po angielsku „rocksnake“, (Felsenschlange); mierzył 5 stóp długości i należał do mniejszych, gdyż mają się nierzadko trafiać okazy po stóp dwadzieścia i więcej. Pythony nie są jadowite, tylko jak ich amerykański krewniak, Boa constrictor, uściśnieniem miażdżą i połykają ofiarę. Jedyny to raz zdarzyło nam się z tym ogromnym wężem spotkać; wogóle nie pora to w Indyach na węże, które dopiero w sezonie deszczów z pod ziemi wyłażą. Cobry-capelle widziałem tylko po miastach w rękach kuglarzów i tak zwanych czarowników, którzy zapomocą muzyki, doprawdy niesłychanych sztuk z temi strasznemi gadzinami dokazują.

Z tryumfem wróciliśmy z panterą do Goony, sam Gerard orzekł, że sztuka niezwykłych rozmiarów; dla mnie w każdym razie dzień dzisiejszy stanowi piękny epilog pobytu w Goonie.

Jutro mam pożegnać Goonę i gościnne progi państwa Gerardów po całomiesięcznym u nich pobycie.

Rezultat mych łowów (1 pantera, 1 sambur, 2 nilgaje, 1 gazella, 4 dziki, 3 czarne antylopy, prócz drobnej zwierzyny) nader skromny, niefortunny niemal, bo króla dżunglów, tygrysa w nim brakuje, a jednak czas mi tu szybko i przyjemnie minął; wywożę bogaty zasób miłych wspomnień i niezatarte wrażenia nowych dla mnie myśliwskich epizodów w nieznanym mi świecie nowej przyrody i fauny.

* * *

Z Goony udał się nasz podróżnik przez Bombaj do Hayderabadu. Podróż odbywała się zrazu konno i wymagała niesłychanej wytrwałości i wprawy w jeździe konnej — następnie koleją.

„Jak kuryer pędziłem dzień cały — opowiada autor — co mil dziesięć świeżego konia dosiadając. Gerard przezornie mi tę nużącą drogę urządził; ośm razy miałem konie rozstawione, tyluż przewodników, żołnierzy krajowej milicyi, którzy co etap się zmieniali. Niema tu mowy o drodze, jedziemy wąskiemi ścieżkami przez puste przestworza nagich skał i kamieni, skąpo krzakami i trawą zarosłe. Przypomina mi to nieco okolicę skalistej Hercogowiny, choć góry tu znacznie niższe, a krajobraz mniej piękny i romantyczny.

Przewodnik cwałem pędzi przedemną, za mną kłusem śpieszy pod żołnierzem wielbłąd, niosący mą torbę podróżną, nie może jednak zdążyć za koniem w galopie i zostawiam go za sobą. W miasteczku Sironże w pół drogi zatrzymałem się na dwugodzinną siestę. Sironża stare miasto muzułmańskie, z czasów mongolskich najezdców, dokoła murem, dziś w gruzach leżącym, opasane. Groźne bastyony w czterech rogach miasta nadają mu wygląd dawnej fortecy; jak strzały wznoszą się ku niebu smukłe minarety, skąd właśnie w południe muezzin wiernych do modlitwy woła. W bazarze zwykły ruch wschodniego miasta z hindustańską przymieszką; mieszkańcy patrzą ciekawie na „białego“, rzadkie to bowiem zjawisko w tym zapadłym kącie Hindustanu.

Za miastem, w namiocie dla mnie rozpiętym, posiliłem się nieco i parę godzin przebyłem; dokoła, jak okiem sięgnie, mahometańskie groby, skruszone kolumny starych mauzoleów, rozrzucone grobowce, szczątki świetnych nagrobków — pomniki minionej przeszłości: muzułmańska nekropolis, ponura, smutna i martwa, miasto umarłych obok miasta żyjących. Namiot mój w cieniu bananu rozpięty; nie wesołe to miejsce na obóz wśród białych grobowców, lecz w braku zajezdnego domu w mieście, lepiej tu w cieniu i świeżem powietrzu, niż w zaduchu i smrodach miastowego bazaru.

Od Sironże począwszy, okolica zmienia się zupełnie; miejsce dżungli zajmują stepowe równiny uprawnych pól i łąk żyźnych. Osady tu częste i kraj bogaty; mijamy niezliczone transporty wielbłądów i bryk wołowych, wiozących produkty rolne, bawełnę, ryż lub pszenicę do najbliższej stacyi kolei żelaznej. O zmroku przebywamy wpław rzekę Bine; po okropnym kawałku drogi, po skałach i luźnych kamieniach, po których mój ósmy kucyk z trudnością był w stanie zdążyć za pędzącym galopem przewodnikiem, który wziąwszy me polecenie pośpiechu *à la lettre*, nie pytając o nierówności drogi, wiatrem pędził przez kamienne wertepy; przybyliśmy nareszcie do Biny, stacyi kolei żelaznej Gwalior-Bombay. Dystans dzielący Binę od Goony, 80 mil angielskich czyli 128 wiorst, przebyłem w 12 godzinach, nie licząc odpoczynków, co stanowi przeciętnie 12 wiorst na godzinę. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się taką odległość konno jednym ciągiem odbyć; mimo straszliwego całodziennego upału, nie czułem zbyt wielkiego zmęczenia, jazda konna nierównie mniej męczy, gdy konie się zmienia i gdy jeździec ciągle świeżego rumaka pod sobą czuje. W trzy godziny po mnie nadciągnął wielbłąd z bagażami, nadedniem wsiadłem do gwaliorskiego ekspresu i po 26 godzinach jazdy w straszliwem gorącu w wagonie, stanąłem w Bombayu“.

Przez Bombay przejeżdżał właśnie wtedy z powrotem do Europy, ks. Albert Wiktor, syn księcia Walii, który kilka miesięcy bawił w Indyach, przyjmowany uroczyście przez macharadżów, którzy go jako namiętnego myśliwego, także i najwyszukańszymi polowaniami podejmowali. On to, między innymi polował z ogromną świtą i taborem 800 słoni w Nepaul na tygrysy, w Hayderabadzie na antylopy i pantery, a w Kathiawarze ubił trzy lwy indyjskie, czyli lwy Guzeratu *(Leo googratensis)*, wielką już dziś rzadkość.

Przebywszy dwa dni w Bombayu i wyprawiwszy stąd kupionego ogiera arabskiego do Europy, udał się hr. Józef Potocki d. 31. marca do Hayderabadu. Podróż koleją żelazną trwała 26 godzin wśród spieki, wynoszącej w dzień i w nocy 95 do 100° F., czyli 28 do 30° R.

„Państwo Hayderabad — opowiada w dalszym ciągu nasz podróżnik — jedna z licznych prowincyj dawnego imperyum mongolskich cesarzów, równa się wielkością obszaru Francyi i liczy 12 milionów mieszkańców. Dzisiejszy Nizam, potomek jednego z jenerałów cesarza Aurungzeba, który po śmierci tego władcy, gdy wielkie cesarstwo rozpadać się poczęło, zagarnął prowincyą dla siebie, ogłosił się jej panem niezależnym i został w ten sposób założycielem dynastyi Nizamów. Nazwa „Nizam“, dzisiejszy tytuł księcia Hayderabadu, wziętą została z tureckiego i do dziś dnia w Stambule w armii padyszacha jest używaną, oznaczając „oddział regularnego wojska“. Zastosowane pierwotnie do cesarskiego jenerała, przeszło słowo „Nizam“ na samoistnego władcę.

W Hayderabadzie na peronie oczekiwał mnie z dworskim powozem adjutant Nizama i zawiózł do przeznaczonego mi mieszkania w rezydencyi pułkownika Newilla, głównodowodzącego armią Nizama. Nawiasem tu dodam, że znalazłem u niego, prócz doskonałego pomieszczenia, tak uprzejme i gościnne przyjęcie, że pobyt w domu państwa Newillów do najprzyjemniejszych chwil w Indyach przebytych zaliczam.

Pułkownik Newill rozmaite przechodził losu koleje, i nim do Heyderabadu się dostał z różnych, jak to mówią, pieców chleb jadał. Jako młody chłopiec wstąpił do służby wojskowej w armii austryackiej i w jej szeregach odbył włoskie kampanie; jako rotmistrz od ułanów, między innemi stał załogą w Brzeżanach. Po 1866 r. wystąpił z austryackiej służby, odbył kampanią prusko-francuską, jako komendant oddziału czerwonego krzyża, wreszcie dziwnem losu zrządzeniem oparł się aż w Hindustanie i przyjął ofiarowaną mu tu posadę w Hayderabadzie z szumnym tytułem „główno-dowodzącego wojskami Nizama“. Dziś człowiek już niemłody, po rozmaitych życia kolejach, rad zażyć spokojnego żywota na niezbyt wiele dającym mu zajęcia stanowisku komendanta kilku pułków książęcych; materyalnie doskonale postawiony, żyje sobie jak mały potentat w swej rezydencyi, otoczony przyboczną gwardyą czarnych Afrykańców.

Co do polowania, jeżeli miałem jakie nadzieje na tygrysy, to te szybko się po pierwszych z nim słowach rozmowy rozwiały. Nizam sam będąc myśliwym, osobiście wybierał się temi dniami z całym taborem i licznym dworem na wielkie łowy na tygrysy i na kilkadziesiąt mil w około polowanie było dla niego strzeżone. W skutek tego nie mogło być mowy o urządzeniu dla mnie jakiejkolwiek większej wyprawy na grubego zwierza. „Jego Wysokość nie zwykł cudzoziemców na swe łowy prosić, jedynie wtedy, gdy sam nie jedzie, rad jest swe łowiectwo na usługi swych gości oddawać“ — tak mi oświadczył adjutant Assur Jung, muzułmanin zangielszczony, faworyt swego pana. — „Na przyszły rok“ — dodał, — „Jego Wysokość zapewne nie pojedzie i jeżeli pan powróci, będziemy radzi panu polowanie na tygrysy ułożyć“. Małą mając nadzieję powrócenia w następnym roku, pocieszam się perspektywą dwóch dni polowania na antylopy, które dla mnie jest przygotowane. Prowincye Hayderabadu należą do najlepszych pod względem

zwierzostanu miejscowości, polowanie jest strzeżone i tylko za osobistem pozwoleniem Nizama polować wolno. Tygrysów wiele; 10 do 15 sztuk w kilkutygodniowej wyprawie do zwyczajnych rezultatów należy. Na obiedzie i wieczorze u państwa Newillów, poznałem wiele osób z licznej angielskiej kolonii w Hayderabadzie żyjącej. Podobnie jak w Gwaliorze, wszystkie niemal ważniejsze administracyjne posady krajowego rządu z egzekutywą połączone są w rękach Anglików; należy to do zasad ogólnej polityki centralnego rządu, by wszędzie „swoich“ mieć ludzi, a wysoka płaca, którą w służbie Nizama pobierają, wielu do Hayderabadu przyciąga. Prócz tego kwateruje obok w Secunderabadzie silna załoga angielskiego wojska „dla protekcyi Jego Wysokości“, oraz by wassal nie zapominał, że jest tylko wassalem Wiktoryi, cesarzowej Indyj. Towarzystwo angielskie tutaj liczne, klub wspaniały, życie światowe nader ożywione.

2. kwietnia. Przed wschodem słońca zajechał po mnie dworski powóz. Z kilkoma strzelcami, otoczony eskortą „Sirwarów“ w pstrych uniformach, ruszyliśmy na antylopy. Niezbyt po myśliwsku to wyglądało, lecz widocznie zwyczaj taki. Pięć mil od miasta zaczynają się tak zwane „*shooting preserves*“ czyli strzeżone rewiry *(chasse gardée)* Nizama. Dżungla mniej więcej podobnie jak centralno-indyjska wygląda, teren równiejszy, roślinność mniej bujna i gęsta, głazów i kamieni więcej, trawa od słońca na popiół niemal spalona — o tej porze roku obraz dezolacyi i pustyni. Ogromne obszary otwartej dżungli roją się literalnie od antylop; stadami po kilkadziesiąt do stu sztuk pasą się spokojnie na resztkach trawy, w szczelinach skał i kamieni wyrastającej. Gdzie okiem rzucić, kupkami stoją; kozły zazwyczaj osobno; ciemno brunatne lub czarne, ze świecącymi rogami, ślicznie odbijają w promieniach wschodzącego słońca na błado-żółtem tle spalonej dżungli. Nie są nazbyt ostrożne, znacznie mniej niż w Gwaliorze; podchodziłem je piechotą, od skały do skały się podkradając, szybko też dopełniłem liczby czterech kozłów, które mi ubić dozwolno. Wybierałem najgrubsze sztuki z pięknymi rogami, do jednej pary udał mi się ładny dublet z prawki i lewki. Piątego kozła o jednym ogromnym rogu postrzeliłem; położył się po strzale, doszedłem go i w rękach go już niemal miałem, gdy się zerwał. Chybiłem do pomykającego, kozioł zmięszał się z uciekającem w oddali stadem i mimo parugodzinnych poszukiwań, przepadł bez śladu. Kulę miał nisko w brzuchu, twardy to jednak zwierz, nieraz śmiertelnie trafiony, światami jeszcze umyka. Mogłem tego ranka śmiało trzydzieści kozłów położyć; w życiu takiej ilości zwierza, na stosunkowo niezbyt wielkim obszarze, nie widziałem. Mówią, że antylopy czasami zbijają się w stada do ośmiuset lub tysiąca sztuk razem; pokazuje to tylko błogie skutki jakiegokolwiekbądź szanowania zwierzyny. Innego zwierza w tej miejscowości mało, mniejsza też, niż koło Goony, ptastwa rozmaitość. Najlepszy teren tygrysi około jezior Pakal zwanych, dalej zaś na południe o mil sto kilkadziesiąt, rozpoczynają się lasy Mysoru, ojczyzna dzikich słoni“.

W dniach 4, 5 i 6 kwietnia nie było polowań więc hr. Potocki zwidzał okolice Hayderabadu i tak je opisuje:

„Tuż za domem pułkownika Newilla rozpoczyna się tak zwana „kamienna pustynia“ wzdłuż i wszerz, na kilka mil przestrzeni, ziemia pokryta erratycznemi głazami ciemnego granitu. Ogromne bryły, to okrągłe jak olbrzymie kule, to ociosane w czworobok jakby ludzką ręką, to koniczne lub spiczaste, piętrzą się w najdziwaczniejszych kształtach, jedne na drugich; nieraz wielki głaz na małym, fantastyczne tworząc ściany i zasłony, jakby ruiny jakiegoś miasta olbrzymów. Tak musi wyglądać Arabia skalista. Ponuro tu i martwo, gdzieniegdzie mizerna palma w szczelinie skały wyrasta, lub w dolinie srebrzy się małe jeziorko i nad niem pasąca się trzoda bawołów pusty krajobraz ożywia.

W pośrodku kamiennej pustyni leży muzułmańskie cmentarzysko, poza tem ogromna jak step równina, zielone łany ryżu, w oddali na horyzoncie sinieje pas ciemnej dżungli.

Stanąłem na wzgórku, by objąć okiem ten dziwny krajobraz; słońce miało się ku zachodowi, z miasta zbliżał się właśnie ku cmentarzowi orszak pogrzebowy. Na przedzie, na czerwonem suknem przykrytych noszach, nieśli zwłoki nieboszczyka, za nimi posuwał się wolno orszak brodatych muzułmanów piechotą i konno. Niebawem znikli za skały załomem.

Wieczór był pyszny, jak tylko na dalekim Wschodzie podziwiać można; chwila, nim słońce się skryje, krótka lecz cudowna, gdy cały horyzont jaśnieje w około, we wszystkich tęczy kolorach, w złocistym blasku zachodzącej kuli ognistej. Jeszcze chwila światła, ostatni odblask fioletowej smugi na niebie i szybko zmrok zapada. Nie mogłem oczu oderwać od tego obrazu! W tej chwili wracał orszak z pogrzebu, jechali cicho, w milczeniu pogrążeni, białe turbany jaśniały pomiędzy ciemnemi skałami; słychać było tylko krok i parskanie koni, w oddali z minaretu dolatywał przeciągły głos muezzina, wołającego wiernych proroka wyznawców do wieczornej modlitwy“.

Właściwy Hayderabad leży o pół mili od angielskiej dzielnicy. Udał się tam na słoniu nasz podróżnik, ażeby zwiedzić jego ciekawości i książęcą rezydencyę, i tak je opisuje:

„Z czterech stron świata prowadzą doń cztery bramy wjazdowe z ciemnego granitu, od każdej bramy ciągną się długie wąskie ulice, które wszystkie schodzą się w środku, gdzie stoi tak zwany meczet czterech minaretów. Tu centrum miasta, środek bazarów, ognisko życia ulicznego.

Żadne miasto Hindustanu nie przedstawia tak odrębnego czysto saraceńsko-indyjskiego typu, jak właśnie Hayderabad. Kilkuwiekowe zespolenie dwóch ludów, Muzułmanów i Hindusów, wycisnęło tu dokładniej niż gdziekolwiek dziwne charakterystyczne cechy i znamiona indyjskiego oryentu; są one widoczne wszędzie i na każdym kroku, począwszy od architektury domów i świątyń, aż do drobnych szczegółów ulicznego życia. Prócz bazarów Bombayu nie widziałem nigdy większego zbiegowiska rozmaitych ras i typów całego Wschodu, niż tu w Hayderabadzie.

Zabronione w angielskich prowincyach noszenie broni, tu powszechnie jest w użyciu, każdy niemal przechodzeń od stóp do głów jest uzbrojony; pyszne kindżały i pistolety bogatych Nawabów, pędzących konno po wąskich ulicach, lśnią się w rękojeści od drogich kamieni; ponury Afgańczyk, ze strzelbą i jataganem u pasa, poważnie kroczy wśród pospólstwa Hindusów; mieszkaniec dzikiego Beludżystanu odznacza się dzidą i tarczą, którą na plecach nosi, jakby szedł do boju; wszystko to dodaje nie mało malowniczości całemu obrazowi; średniowieczny oryent z czasów wojen krzyżowych tak wyglądać musiał.

Bazary Hayderabadu słyną sławą najlepszej w Indyach broni, której pyszne okazy tu znaleść można; amatorowie starożytnego oręża tu odnaleść mogą średniowieczne zbroje wielkiej wartości, chociaż dzisiaj po większej części co ciekawszego już wykupiono.

Opodal za bazarami stoi pałac książęcy a raczej kilka niskich pawilonów w czworobok postawionych, gdzie rezyduje Nizam i dwór jego; obok głównego pałacyku, gdzie sam Nizam mieszka, ciągną się obszerne zabudowania dworskie, oficyny, stajnie, wozownie i t. d. Dziedzińce roją się od żołnierzy, milicyi, gwardyi przybocznej, sług i dworaków różnego rodzaju, w dziwacznych, pstrych ubiorach i liberyach wschodniego zakroju na indyjskim smaku. Wszystko jednak, nie wyjmując głównego pałacu, brudne i niedbale utrzymane; obok azyatyckiego przepychu wschodni nieporządek i nieczystość. Kilkaset koni, przeważnie arabów, stoi na stajni, między nimi kilka niezłych typowych bachmatów, pod Nizama do uroczystych pochodów używanych. Zaprzęgowe konie, ciężkie karossyery pochodzą z Australii, prócz tego mają jednę czwórkę Juckerów z Węgier sprowadzonych.

Za pałacem, olbrzymim murem jak forteca opasana, wznosi się w pysznym parku Zenana, czyli harem, w którym Nizam kilka tysięcy kobiet utrzymuje. Łowiectwo ma mieć Nizam wspaniałe, trzysta słoni myśliwskich, tyleż pochodowych, liczne psiarnie, kilkunastu sokolników i t. d. Niestety, tego już zobaczyć nie mogę, gdyż całe łowiectwo w pole wyruszyło i w dżungli przybycia Nizama oczekuje. Pokazują mi w klatkach chowane i oswojone lamparty, ułożone jak charty do łapania antylop; obiecują mi przed wyjazdem to oryginalne polowanie pokazać. Po angielsku nazywają to „chita-hunt“ i rad jestem bardzo ze sposobności ujrzenia tego sportu. Oba dni świąteczne przyjemnie mi zeszły w domu państwa Newillów. W niedzielę w katolickiej kaplicy na solennem nabożeństwie, celebrowanem przez portugalskiego biskupa, rezydującego w Hayderabadzie, zebrała się cała kolonia katolicka Hayderabadu. Jak wszędzie w Indyach, katolików tu dużo, przeważnie Portugalczyków i tak zwanych half-caste, to jest mięszańców angielskiej krwi z krajową, niemniej też dużo prostego, ciemnego ludu, przez misyonarzy nawróconego. Lud prosty jak w meczecie na ziemi siedzi i więcej ciekawie jak pobożnie przypatruje się kościelnym obrzędom. (Dok. nast.)

KORESPONDENCYE.

Olejów w czerwcu 1891.

(Lisia rodzina.)

— A co słychać w Bałaszówce Andruchu? — pytałem, przejeżdżając przez jeden z rewirów olejowskich, miejscowego gajowego. — Czy nie ma szkody w lesie i w zwierzynie?

— Wszystko dobrze, proszę jaśnie pana, tylko z moimi kurami źle, bo mi lisy zjadły 9 kur i koguta, i dziś jeszcze lis ostatnią wziął; widziałem jak złapał i poniósł w kierunku jam.

Oburzony tym rozbojem lisa — który z podwórza gajowego, w obec psa i domowników, zabiera bezczelnie kury, rozpytałem się gajowego, gdzie są w tym roku lisie jamy. Kazałem je oczyścić z pokrzyw, zielska i drobnego haszczu i poleciłem gajowemu, aby pilnował, czy wieczorem, przed zachodem słońca, lisy młode nie wychodzą przed jamę.

W kilka dni potem, przychodzi do mnie ten sam gajowy i opowiada mi, że wczoraj około piątej godziny, widział trzy młode lisy, bawiące się przed jamą. Zachęcony tym donosem, obiecałem gajowemu, że nazajutrz popołudniu przyjadę, jeżeli będzie pogoda, i zasiądę nad jamą, aby pomścić kury i koguta gajowego. Wyjechałem tedy nazajutrz i około 5-tej godziny, byłem przy gajówce Bałaszowieckiej. Zostawiwszy tutaj konie i gajowego, poszedłem nad jamy. Zacząłem rozmyślać, jakby tu zasiąść z wiatrem i w dobrem ukryciu, lecz aby dobrze mieć na oku miejsce wyczyszczone przed jamami, ulokowałem się za gęstym krzakiem leszczyny i usiadłem na dębowym pniaku, obłamując gałązki, któreby mi mogły w strzale przeszkodzić.

Czekałem już blisko godzinę, słuchając ostatniego spiewu słowika, bo to już było blisko do św. Wita, gdy wtem, spoglądnawszy na jamy, zdawało mi się, że w otworze jednej z nich coś się ruszyło. Zatrzymałem oddech, podniosłem strzelbę i czekałem. Rzeczywiście po chwili głowa młodego lisiaka wychyliła się po nad jamę, rozglądał się ciekawie, uszkami strzygąc powoli wysunął się do połowy ciała, wreszcie cały, a za nim wkrótce drugi i trzeci lisiak, tak samo ostrożnie z tej samej jamy się pokazał. Z początku obeszły miejsce powoli przed jamą, a przekonawszy się, że nic im nie grozi, zaczęły szczekać, skomlić, jak młode psiaki, warczeć na siebie, potem jeden drugiego za nogi chwytał, zaczęły się gryźć, przewracać i gonić na około jamy.

Czekałem ciągle złożony, aby wszystkie trzy zbiegły się do kupy, aby jednym strzałem wszystkie położyć. Wtem wiatr powiał silniejszy, a ze stojących dokoła drzew spadł chrabąszcz majowy na ziemię. Nie uszło to baczności jednego, rzucił się ku nieborakowi, złapał go, zaczął nim jak pies do góry podrzucać, to puszczać na ziemię, to w powietrzu łapać. Dwa inne lisiaki, które się właśnie goniły, zobaczyły to i starały się chrząszcza trzeciemu odebrać, zaczęła się gonitwa, ten, który chrząszcza miał w pysku, pierwszy, potem za nim dwa inne, wreszcie zdaje się chrząszcza połknął, bo wszystkie trzy zaprzestały gonitwy, a dwa z tyłu będące zaczęły temu pierwszemu pysk obwąchiwać. Przekonałem się wkrótce, że gdy drugi chrabąszcz upadł na ziemię, jeden z lisiaków zjadł go od razu. Uszczęśliwiony byłem, że lisy chrabąszczami młode swe żywią, lecz jeszcze tego wieczora przekonałem się, że się bardzo zawiodłem w tem mniemaniu.

Przypatrując się dalej gonitwie lisiąt, zauważyłem, że wszystkie nagle zabawy zaprzestały, stanęły z uszkami w pewnym kierunku nadstawionymi wyraźnie nasłuchując. Wkrótce i ja usłyszałem szelest liści, jakby coś szło. Już chciałem strzelić, gdyż właśnie lisiaki razem stanęły, gdy mi z gęstwiny błysła czarna, spiczasta morda starego lisa; odjąłem palec z cyngla, widziałem, że lis stary przyniósł wieczerzę swym dzieciom. Wyszedł z gąszczu i — o zgrozo! — trzymał w pysku młodego żywego zajączka! Krew hodowcy zwierzyny zakipiała we mnie i już brałem na cel, by zgładzić starego bezbożnika i drapieżcę, lecz rozum myśli-

wego powiedział: czekaj, zabijesz jednego a trzy się wychowa — i odjąłem znowu strzelbę, do twarzy już przyłożoną.

Lisiaki pobiegły do rodzica, kitki do góry stawiając cieszyły się, bo skomlały i skakały mu do pyska. On wyszedł na czyste miejsce przed jamą, trzymając wylękłego zajączka w pysku, oglądnął się ostrożnie dokoła, a położywszy wreszcie swą zdobycz przed sobą, z zadowoleniem kitą po ziemi suwał, siedząc jak pies na tylnych nogach i z oka nie spuszczał zająca. Lisiaki młode zaczęły się bawić zającem, szczekać na niego, szarpać i łapami katulały go po ziemi. Trwało to dość długo. Zajączek, który był już tak duży jak mały królik, usiłował parę razy uciekać, lecz gdy tylko się trochę oddalił, skakał lis stary, chwytał i kładł go znowu przed sobą, a potem z miną zadowoloną patrzał znowu, jak go przyszłe podpory lisiego rodu skubały i przewracały. Lecz zdaje się, że już uznał, iż za długo trwa ta zabawa i że już trzeba rozpocząć wieczerzę, gdyż mordą odsunął lisiaki od zająca, i podczas gdy one wiankiem na przeciwko niego na zadnich nogach usiadły, jak psy przed miską jedzenia pełną — on wstał, przycisnął nogami przedniemi zajączka do ziemi i chwycił mordą za szyję. Zajączek zawołał „kniaź“! — lecz w tej samej chwili strzeliłem, bo dosyć mi było widoku tych krwawych igrzysk. Po rozejściu się dymu, piękny widok przedstawił się moim oczom, widok nasyconej zemsty. Oto liszka stara i dwa młode leżały rozciągnięte, lecz leżały na trupie zajączka; trzeci zdaje się uszedł do jamy nietknięty lub postrzelony. Żałowałem jedynie, żem nie strzelił pierwej przed śmiercią zająca, lecz pytanie, czy byłbym miał trzy lisy?

Zaciągnąłem te trzy lisy do mego pniaka, i przyszła mi myśl bezczelna, lecz widocznie szczęśliwa aby jeszcze zasiąść i czekać na trzeciego lisa młodego, który, choć przestraszony strzałem, jeżeli tylko nie był trafiony, musi wyjść z jamy, zdziwiony, że reszta rodziny do niej nie wróciła. I rzeczywiście, po półgodzinnem siedzeniu, zobaczyłem nosek czarny wychylający się z jamy. Długo wietrzył, rozglądał się, nim odważył się wyjść z jamy zupełnie. Ponieważ strzał do głowy młodego lisa był bardzo niepewny i to jeszcze dlatego, że zakryty nieco pagórkiem i korzeniami pniaka, pod którym jama się znajdywała — czekałem cierpliwie, aż lis pokaże się choć do połowy ciała. Gdy tak cała moja uwaga na otwór jamy skierowaną była, z przeciwnej strony zauważyłem, że się nieco pokrzywy i chmiele dzikie ruszyły. Odwróciłem oczy i zobaczyłem znowu głowę drugiego starego lisa z zarośli i traw się wychylającą. I ten lis znowu coś w pysku trzymał, czego jednak rozpoznać nie mogłem. Ostrożnie się rozglądał i powoli podsunął się ku jamie. Dopiero wtedy młode lisię wyszło z jamy i przybiegło do starego w wesołych podskokach. Nie czekałem już na początek biesiady, lecz strzeliłem, i tak szczęśliwie, że ujrzałem jak oba lisy przewracają się w konwulsyjnych, śmiertelnych drganiach. Jednym skokiem byłem przy mej zdobyczy i uderzeniem laski dobiłem oba lisy. Zacząłem zaraz szukać, co to znowu lis stary przyniósł na wieczerzę swym dzieciom, i z oburzeniem i rozpaczą ujrzałem łopatkę małego sarnięcia niedawno urodzonego! Więc jedna sarna mniej tego roku w tym rewirze! Lecz czyli tylko jedna? Ileż ta para lisów zajęcy młodych i sarniąt musiała przynieść swym dzieciom, jeżeli jednego dnia aż dwoje wychowanków moich zgładziła, aby zaspokoić głód trojga lisiąt. Ileż to zajęcy i sarniąt ginie z pyska lisiego przez przeciąg jednego lata, jeżeli w każdym rewirze przynajmniej dwie pary lisów i jeżeli one więcej wychować muszą niż troje młodych.

Nie opisałem tego faktu jako zbyt ciekawego, lecz aby przedstawić łaskawym czytelnikom, jak wielkie i nieobliczone szkody robi para lisów przez lato w chowie zwierzyny pożytecznej, aby ich zachęcić i zapalić do większej jeszcze nienawiści ku lisiemu rodowi i wydać mu otwartą wojnę przez lato. Oto jest jedna z głównych przyczyn, dlaczego my tu w Galicyi nie możemy przyjść do stanu zwierzyny, takiego, jaki mają inne graniczące z nami zachodnie kraje.

Mojem przekonaniem, lis całe lato żywi się i wychowuje swe młode jedynie młodą zwierzyną pożyteczną, a jeżeli nie nią wyłącznie, to także młodymi ptaszkami i jajami ptaków, na ziemi się gnieżdzących. Ileż to przepiórczych i kuropatwich gniazd znajdywałem zepsutych w polu, ile krzyczych, kaczych i chruścielich po łąkach! Wszystko to było dziełem lisa! A innych małych ptasząt gniazda, które tak w oko myśliwemu wpadają, ileż ich wykryje lis swym doskonałym rozumem i znakomitym wiatrem, a zniszczy je łatwo, gdyż dużo z tych ptaków, jak słowiki, raszki, pokrzywki, podkamionki, drozdy, kosy i t. p. gnieżdzą się na ziemi lub nisko w krzewach.

Ze wszystkich spostrzeżeń moich powziąłem przekonanie, że lis myszami jedynie w późnej jesieni i w zimie się żywi, w lecie zanadto mu mysz cuchnie, aby na nią czatował, aby jej szukał, zwłaszcza kiedy ma większą, smaczniejszą zdobycz w młodej zwierzynie. Nigdy w lecie i na wiosnę nie znalazłem ani w odchodach lisich ani w resztkach jego biesiady szczątków myszy, jak to w zimie często napotkać można.

Lis to wróg naszego chowu zwierzyny, wróg naszej opieki nad nią, wróg ustawy łowieckiej, a ona mu zostawia bezkarną wolność buszowania po kniejach i polach, ona go ochrania przez całe sześć miesięcy!

Odpowie mi na to niejeden z czytelników: ja daję lisom padlinę i one wtenczas tyle szkody nie robią. O, chciałbym widzieć tego lisa, co w lesie śmierdzące ścierwo ruszy, on — ten najdelikatniejszy wybredniś jadła! Z biedy jedynie, z braku innej karmy, przyjmuje padlinę i to tylko, gdy zamarznięta i przykrego nie wydaje zapachu!

Podzielam zdanie niejednego z czytelników, że przyjemny jest strrzał do lisa, pewnie przyjemniejszy niż do dziesięciu zajęcy — lecz większa ilość lisów w kniei może wyniszczyć i zrobić zupełnie pustym rewir na dłuższy nawet czas. Bierzmy przykład z naszych sąsiadów w Prusiech, Czechach i Austryi, gdzie lis jest już rzadkością. Wyrzekli się oni przyjemności strzelania do lisów, zróbmy tak jak oni, a będziemy mieli pożytecznej zwierzyny tyle, co oni.

Aleksander Wodzicki.

Stryj w czerwcu 1891.

(Z towarzystwa myśliwskiego „Stryj“).

Jakkolwiek wiosna dla myśliwego jest porą wakacyi, to przecież nie brak i w tym czasie zajęć ściśle z myśliwstwem połączonych. I nasze towarzystwo myśliwskie nie zasypiało podczas wiosny.

Po skończonem polowaniu na słonki, które, mówiąc nawiasem, tego roku bardzo nielicznie nawiedziły nasze rewiry, wzięliśmy się wszyscy wydziałowi towarzystwa wspólnymi siłami do tępienia kłusownictwa, do czego nam dzielny nasz nadstrażnik Ludwik Sokołowski w Chromochorbie dobrze dopomagał. Usilnej jego gorliwości zawdzięczamy przychwycenie już to na gorącym uczynku, już to ze strzelbą w ręku,

19 (mówie dziewiętnastu) kłusowników, z których dwom strzelby odebraliśmy.

Wszyscy ci kłusownicy zostali częścią w tutejszem c. k. starostwie, częścią c. k. sądzie powiatowym lub obwodowym w Samborze przez syndyka naszego o przestępstwo kłusownictwa, lub zbrodnię kradzieży oskarzeni i część ich, mianowicie 14, została przez c. k. starostwo na areszt 3 dniowy lub karę 15 zł. skazaną, a z resztą rozprawią się w swoim czasie c. k. sądy. Za tak świetny wynik śledztwa niechaj mi będzie wolno na tem miejscu podziękować w imieniu całego Towarzystwa myśliwskiego świetnemu c. k. starostwu w Stryju, a w szczególności c. k. komisarzowi starostwa, referentowi spraw myśliwskich, W. P. Veltzemu, który tak sumiennie śledztwo z tylu kłusownikami w krótkim czasie przeprowadził i tak przykładnie ich zasądził.

Ile dobrego gorliwość c. k. komisarza starostwa może myśliwstwu zrobić, nie potrzebuję, zdaje mi się, wyjaśniać; myśliwi wiedzą o tem dobrze, bo w takim powiecie zwykle zwierzyna chętnie i licznie przebywa, nie będąc niepokojoną przez nielitościwych kłusowników. To też nasz pan komisarz zaskarbił sobie względy wdzięczności na długie czasy u wszyststkich braci w Hubercie. Dzięki jemu rewiry nasze spokojne, żadna zbrodnicza ręka nie targnie się na kotną sarnę lub zajęczycę, które w ciszy leśnej mogą swe młode pielęgnować i przez kilka polowań bawić konsolacyą swoją drużynę św. Huberta.

B. W.

We Lwowie, d. 2. czerwca 1891.

(Z Towarzystwa myśliwskiego im. św. Huberta we Lwowie).

W roku ubiegłym 1890/91 przyszło Towarzystwo im. Huberta do równowagi budżetowej. W miejsce kilkunastu członków, którzy Towarzystwo opuścili, wpisało się nowych 18 myśliwych, między którymi są osobistości, zajmujące wybitne stanowiska, jako wytrawni łowcy i doskonali strzelcy. Towarzystwo liczy obecnie 64 członków. A jakkolwiek, jak to przy wyborach się okazało, nowe prądy ożywiają obecnie większość członków, to jednak nic w tem nie ma dziwnego i można być pewnym, że Towarzystwo i nadal świetnie rozwijać się będzie.

Z prawdziwą przyjemnością podnieść musimy rozwój naszych rewirów górskich, który się datuje od ostatniego sezonu. W rzędzie nowo przyjętych członków Towarzystwa znalazło się kilku miłośników polowania na grubszego zwierza, którzy wraz ze szczupłym zastępem starszych członków wpisali się do koła górskiego (Smorze i Klimiec), a udowodniwszy wydziałowi Towarzystwa aktualność tego koła, spowodowali znaczną ofiarność Wydziału na cele łowieckie w Smorzu i Klimcu. Trzy polowania, odbyte tamże, dały, oprócz wysokiej emocyi myśliwskiej, w rezultacie jelenia dwunastaka (ubił go były prezes Towarzystwa Br. Komorowski), czterolatka niedźwiedzia, zabitego przez p. Wąsowicza, leśniczego z sąsiedniej Boryni i 1go dzika.

Dzięki ofiarności Wydziału, urządził leśniczy Smorzański p. Galiński w rewirach sobie oddanych lizawki dla jeleni i poddawał w ciężkiej tegorocznej zimie karmę. Stan zwierzyny znacznie się podnosi — obecnie ma Smorze i Klimiec stałych, gniazdowych jeleni 14 sztuk, a podczas, gdy jeszcze, przed rokiem odbywały się rykowiska na stronie węgierskiej, w roku ubiegłym odbywały się w naszym rewirze. Co do niedźwiedzi tyle tylko powiemy, że w grudniu r. z. otropionych było na ponowie sztuk 7.

Co do innych rewirów, gospodarka łowiecka w tym roku była podobna do lat ubiegłych. Wszystkich lizawek posiada Towarzystwo przeszło 30, a tryzubów na karmę 66. Rezultat łowów jednak, mimo starań i znacznych nakładów, nie przedstawia się świetnie, raczej gorzej od lat poprzednich — a są knieje, w których zwierzyny dochować się nie możemy.

Na polowaniach kniejowych ubiliśmy 1 niedźwiedzia, 1 jelenia, 7 dzików, 21 lisów, 47 rogaczów, 69 zajęcy, 14 słonek i 1 jarząbka.

Uderzyć musi każdego mała stosunkowo ilość zajęcy, nie można się jednak objawowi temu dziwić, ponieważ w tym roku niewytłumaczona jakaś klęska znacznie przerzedziła ród szaraczy, mimo świetnych zapowiedzi z wiosną, tak, iż w najlepszych rewirach zajęczych, rezultaty polowań nie odznaczały się obfitością. Polowania luźne członków Tow. w rewirach podlwowskich wypadały natomiast wcale dobrze; o ile z relacyj ustnych wysnuć można było, ubito więcej zajęcy niż w kniejach, a prócz tego pokaźną liczbę ptactwa łownego, szczególnie błotnego, choć zeszły rok jako suchy mało przedstawiał nadziei. Kuropatw tego roku padło niewiele. Myśliwi sądzili, że brakło ich zupełnie, aż dopiero zima wykazała, że te smaczne kuraki w rewirach były, umiały się jednak dobrze przed myśliwymi ukrywać.

Na tem kończymy obraz czynności Towarzystwa w roku ubiegłym, który i finansowo był świetnym, gdyż nowy Wydział rozpocznie nowy rok administracyjny z dosyć znaczną gotówką.

Walne zgromadzenie członków Tow. odbyło się przy końcu maja i po dokonaniu wyborów, zamianowało tyle dla Towarzystwa zasłużonego prezesa, p. Bronisława Komorowskiego, który ze swego stanowiska ustąpił — pierwszym członkiem honorowym Towarzystwa. — Na rok 1891/92 wybrano na prezesa p. Dr. Zygmunta Riegera, na wiceprezesa p. Adama Szczawińskiego, na sekretarza p. Władysława Horvatha, na podskarbiego p. Franciszka Kinelskiego. Uzupełniono zarazem Wydział rewirowymi. Obranymi zostali na 3 lata dla koła: I. (podlwowskie) p. Krzysztof Koeppel, VII. (Piaski-Zarzyce) p. Zygmunt Donnersberg, VIII. (Iłów) pan Maryan Sobolewski, X. (Rozwadów) p. Władysław Ostrowski, XIV. (górskie) p. Bronisław Komorowski.

Spodziewać się należy, że Wydział w tym składzie odpowie w zupełności zaufaniu Walnego Zgromadzenia i że będzie pożytecznie pracował dla dobra Towarz., a czeka go jeszcze w sprawie nowej ustawy łowieckiej, która w tym roku ma przyjść pod obrady Sejmu, praca nie lada, gdyż obecnie jest jedyna pora, by ze stanowiska największego Towarzystwa myśl. w kraju zabrać głos w sprawie ustawy, która na jakiś okres przyszłości będzie regulatorem krajowego łowiectwa.

L. G. Dziubiński.

KRONIKA.

Z Towarzystwa myśliwych. Dnia 1. czerwca odbyło się w Rzeszowie walne zgromadzenie Towarzystwa myśliwych przy dość licznym udziale członków. Wskutek rezygnacyi p. pułkownika Mastnego z godności prezesa, oraz wystąpienia z wydziału p. Krausa, przeprowadzono nowy, a względnie uzupełniający wybór. Obecny zarząd Towarzystwa w następujący przedstawia się sposób: prezesem jest p. Stanisław Jaworski, jego zastępcą p. Szczepan Jabłoński, w skład wydziału zaś wchodzą pp.: nadporucznik Rosenauer, Czerny jako sekretarz i Stanisław Jaśkiewicz jako kasyer.

Wilki i niedźwiedzie na Bukowinie. W miejscowości Czumorna dnia 23 maja wilki napadły stado owiec i rozszarpały 6 sztuk, oraz świnię.

W Pojana Mikuli pojawiły się dwa niedźwiedzie, które widocznie mają swe legowisko w pobliskich lasach funduszu oryentalnego.

Wspaniały plon myśliwski. Arcyksiąże Franciszek Ferdynand d'Este, według wykazów jego księgi myśliwskiej, zabił od r. 1883 do 1 stycznia 1891 w ogóle 55.024 sztuk zwierzyny. Między tem 13 łosiów, 754 jeleni krajowych (339 rogaczy, 312 łań i 103 podciołków i łaniek) 7 jeleni wirginijskich, 573 sztuk danieli (213 rogaczy, 360 łań), 348 kozłów, 22 mufiony, 120 kozic, 1094 dzików, 3 zające alpejskie, 21.002 zająców zwykłych, 1 syryjskiego, 3.259 królików, 5 niedźwiedzi, 1 dzikiego kota, 2 azyatyckie szakale, 35 lisów, 32 borsuków, 3 tumaki, 1 kunę kamionkę, 3 wydry, 5 tchórzów, 4 łasice, 146 drobniejszej zwierzyny czworonożnej i 3 delfiny. Z ptaków zabił arcyksiążę 164 głuszców, 61 cietrzewi, 1 jarząbka, 26 dzikich indyków amerykańskich, 11.689 bażantów, 2 dropie, 25 frankolinów, 9.644 kuropatw trzech gatunków, 288 przepiórek, 80 słonek, 139 kszyków, 4 dzikie gęsi, 487 krzyżówek, 86 innych, mniejszych kaczek, 203 kurek wodnych, 39 nurków, 49 kormoranów, 1.847 rozmaitych mew, 123 ibisów, 9 orłów, 73 sępów i sokołów, 1 flaminga, 700 różnych czapel i 1.818 mniejszych drapieżnych dziennych i nocnych ptaków.

Wystawa drobiu w Wiedniu. Dnia 4. czerwca zamkniętą została wiedeńska międzynarodowa wystawa drobiu i ptactwa domowego, urządzona w Praterze przez austr. stowarzyszenie chowu drobiu, a zakończona targiem na wystawiono okazy. Wystawa była bardzo zajmującą i pouczającą. Niestety między wystawcami nie było Polaków, jakkolwiek nie brak ich w spisie członków stowarzyszenia i nie brakło również dowodów, że mimo zaniedbania u nas tej gałęzi gospodarstwa, byłoby jednak czem się w Wiedniu popisać. To też za nas popisywali się inni polską rasą kur i jajami, wywożonymi z Galicyi, które, jakkolwiek przeciętnie mniejsze od innych, zaliczone jednak zostały do najsmaczniejszych, najtrwalszych i najbardziej nadających się do eksportu. Wywóz ten jest bardzo znaczny, szkoda że w obcych rękach. Kury polskie pod względem wydatności jaj przez żadną inną rasę, nawet przez hamburską, nie dają się prześcignąć, a pod względem smaku i delikatności mięsa nie ustępują styryjskim, a nawet francuskiej rasie *la Flèche*, zbyt delikatnej, aby u nas ją hodować można. Ten ostatni zarzut stosuje się w wyższym jeszcze stopniu do wszystkich prawie ras francuskich, do płowych Paduanek, do czarnych o białym czepcu Holenderek, do angielskich *Dorkingów*, do Japonek, Malajek i t. p. a szczególnie do ras hiszpańskich, między którymi śliczne andaluzyjskie koguty z kolosalnymi grzebieniami powszechną zwracały uwagę. Pod względem wytrwałości, prześcigają polską rasę tylko szaro - nakrapiane amerykańskie *Plymouth-Rocks*, które też, wraz z angielską *Wyandotte*, najbardziej obecnie wchodzą w modę u hodowców. Przechwalane niegdyś *Kochinchiny* i lepsze *Bramaputry*, mimo swoich zalet, tracą zwolenników. Do krzyżowania polska rasa nadaje się lepiej od innych, których w ogóle było na wystawie przeszło czterdzieści. Ceny niektórych ras były bardzo wysokie: andaluzyjskiego koguta z dwiema kurami ceniono 112 zł., holenderskiego 180 zł.

Z ras kaczek przyznano największe zalety rasie pekińskiej i angielskiej t. z. *Aylesbury*. Z ras gęsi zwyciężyła „tuluzańska“.

Wystawa gołębi była świetna — pięćdziesiąt kilka gatunków, a czterysta kilkadziesiąt odmian, rozmaitość kształtów i upierzenia ogromna. Wobec sportu, będącego dziś w modzie, ceny niektórych gatunków nader wygórowane. Tak n. p. pstry *werfer* angielski kosztował 130 zł., niewiele mniej czerwone „pawiki“, smyrneńskie „blondynetty“ i papużkowaty „indyanin“ 150 zł., kilka okazów angielskich i francuskich „garłaczy“ po 220 zł., a jeden, najosobliwszy z pomiędzy nich, z niebieską na piersiach plamą 250 zł.

Towarzystwo „chowu drobiu“ urządza także wyścigi pocztowych gołębi, z których jeden, znakomitą uposażony nagrodą, odbędzie się 26. lipca b. r. przez wypuszczenie gołębi wiedeńskich, do Krakowa przywiezionych, i przez 14 dni tam w klatce trzymanych.

Szczególna śmierć. W okolicach Gänserndorfu, w N. Austryi, zagubił się gdzieś majętny 56-letni gospodarz, nazwiskiem Hausner. Widziano go ostatni raz, jak szedł ze strzelbą na ramieniu do lasu. Gdy po minionym dniu i nocy nie wrócił do domu, wybrali się żandarmi i członkowie rodziny na poszukiwania, i znaleźli go martwego pod drzewem. Dubeltówka, zwrócona łożem do góry, wisiała na gałęzi, powyżej dubeltówki znajdowało się srocze gniazdo. Zbadane bliżej okoliczności wykazały, iż Hausner chciał prawdopodobnie łożem dubeltówki strącić gniazdo i wspiął się przytem nieco na drzewo, ale nieszczęśliwym jakimś ruchem zaczepił o kurki, skutkiem czego strzelba wypaliła i cały nabój przeszedł mu przez serce.

W klatce niedźwiedzia. Okropna scena rozegrała się d. 23. czerwca w ogrodzie zoologicznym w Frankfurcie nad Menem. Dozorca zwierząt Heim usłyszał około godz. pół do pierwszej w nocy przeraźliwy krzyk, dochodzący go od strony ogrodu, gdzie się znajdują klatki z niedźwiedziami. Udał się tam i ujrzał scenę straszną. Biały niedźwiedź, stojąc w swej klatce na dwóch łapach, trzymał w śmiertelnym uścisku kobietę całkiem nagą. Tylko chusta, dwoma końcami na węzeł związana, którą nieszczęśliwa prawdopodobnie biodra miała przepasane, leżała obok w klatce. Jedną łapą trzymał zwierz ofiarę z tyłu za głowę i zachowywał się spokojnie. Przerażony dozorca zapytał nieszczęśliwej, jakim sposobem do klatki dostała się, lecz ona krzyczała: „Ratunku! Zastrzelcie mnie!“ a w końcu dała odpowiedź, świadczącą, iż nie jest przy zdrowych zmysłach. Heim, nie widząc możności niesienia jej ratunku, pobiegł po dalszą pomoc. Przybyły wkrótce dozorca Geiling, poznał w kobiecie osobę, znaną sobie z rodzinnej wsi w Bawaryi. Bywała ona często w ogrodzie i przypatrywała się zwierzętom, a raz nawet miała oświadczyć, że gdyby ją wpuścili do klatki lwa, to dałaby się pożreć. Z dalszych krzyków i błagań o pomoc dowiedzieli się, że spuściła się sama do klatki, górą, na sznurze do gałęzi przywiązanym, i chcieli jej podać ten sznur dla możliwego ratunku, lecz nie mogli go znaleść w ciemności. Wołała wciąż przerażającym głosem: „Zastrzelcie mnie! Zastrzelcie!“ Dozorcy usiłowali żelaznymi drągami odepchnąć niedźwiedzia od nieszczęśliwej kobiety: wtedy zwierz, widząc się zagrożonym, począł ją pożerać. Nastąpiła scena śmierci, przerażająca walką bezsilnej ofiary z potworem i wstrząsającymi krzykami boleści. Niedźwiedź odgryzł swej ofierze najprzód pierś, potem ramię aż do kości, następnie rozdarł brzuch i pożarł wnętrzności. Wkrótce jęki ustały i w niewięcej jak w pół godziny były już tylko kości z nieszczęśliwej kobiety. Dozorcy czy nie mieli broni palnej, czy nie chcieli strzelać, dość że byli bezradnymi świadkami tej przerażającej sceny, a gdy policya pojawiła się w pół godziny na miejscu, mogła już tylko pożarcie kobiety przez niedźwiedzia skonstatować.

Niedaleko od klatek znaleziono ułożone w porządku suknie pożartej i jej książeczkę służbową, z której się dowiedziano, że nieszczęśliwa liczyła lat 44 i nazywała się Katarzyna Wolff. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że musiała zapadać na ubłąkanie i w chwili napadu na śmierć tak straszną sama się skazała. Powodem obłędu była może zawiedziona miłość, którą żywiła ku dozorcy Geilingowi. Przed nocą fatalną miała się wyrazić: „Skoro mnie niedźwiedziarz nie chciał, gdym miała lat dwadzieścia, to niech mnie teraz jego niedźwiedź zje“. I życzenie to spełnił niedźwiedź w sposób okropny.

Niezwykły połów. We wsi Warwarówce, w gubernii Woroneskiej, pojawił się był jakiś zwierz drapieżny, który psy wiejskie dziesiątkował. Nikt nie wiedział, coby to mógł być za zwierz, aż nareszcie pewnego wieczora, gdy dwaj włościanie saneczkami wzdłuż lasu jechali, wypadło z zarośli kocimi skokami jakieś duże, żółte zwierzę, i zanim się włościanie mogli opamiętać, skoczyło na konia. Silny koń, unikając ataku, odskoczył w bok, skutkiem czego zagadkowy zwierz uderzył o dyszel i dostał się koniowi pod kopyta. Koń stanął dęba i potem z całą siłą uderzył przednimi nogami w łeb napastnika, który też został bez ruchu na ziemi. Widząc to, rzucili się włościanie ku niespodziewanej zdobyczy, a choć była ciężka, wyładowali ją na saneczki i siedząc na niej ruszyli dalej. Ogłuszony zwierz począł jednak przychodzić do

siebie i rzucać się, więc włościanie uderzeniami kamienia rozbili mu do reszty czaszkę, a przyjechawszy do Warwarówki, sprzedali z niego skórę za półtora rubla.

Nikt nie wiedział, co to był za zwierz i jakiej wartości. Dopiero w kilka dni pokazało się, że był to ni mniej ni więcej tylko — tygrys na 170 centym. długi, który wydobył się z klatki menażeryjnej na stacyi Usman, kolei Kozłowo-Woroneskiej, i próbował żyć na własnym wikcie w pobliskich lasach.

Kolonia kangurów, zaprowadzona w prowincyi nadreńskiej w Heimerzheim przez bar. F. Böselagera, o której donosiliśmy w swoim czasie (*Łowiec* 1890 Nr. 5.), została niestety zniszczona. Donosi o tem sam właściciel pismu niemieckiemu *Weidmann*. Już wcześnie pod jesień ściągały kangury do poddawanego im żeru, a z początkiem listopada, całą poddawaną im paszę przez noc zjadały. W drugiej połowie listopada nie przychodziły już jednak do żeru, a 27. listopada pojawiła się tylko jedna sztuka, i w kilka dni później, gdy spadł śnieg, tylko trop tej jednej sztuki można było wyśledzić. Cóż się stało z resztą? Niestety, wskutek choroby leśniczego i niedostatecznego dozoru, padła ona pod strzałami kłusowników, którzy wystrzelali ją przy żerowiskach śród nocy księżycowych, a nie mogąc tak szczególnej zwierzyny sprzedać, sami się nią żywili.

W sąsiednich lasach, gdzie obrodziła obficie bukiew, utrzymała się jedna, czy dwie sztuki, w innej miejscowości, gdzie były także 2 sztuki, znaleziono jedną nie żywą, która zdaje się zbyt ostrym dla niej mrozom uległa.

Język małpi. Uczony amerykański, profesor Garner poświęca w *New. Review* długi artykuł językowi małp na podstawie doświadczeń, czynionych w ogrodzie zoologicznym w Cincinatti. Autor artykułu dochodzi do wniosku, iż język małpi służy do wyrażania oddzielnych pojęć i że w pewnych warunkach zrozumianym być może przez człowieka. Po zebraniu przy pomocy fonografu znacznej ilości małpich krzyków, profesor Garner starał się wykombinować gwarę przeciętną, i po ułożeniu przypuszczalnego słownika udał się do ogrodu zoologicznego w celu wypróbowania, o ile z małpami porozumieć się potrafi. Oto w jaki sposób streszcza uczony amerykański swoje badania: „Udałem się do ogrodu zoologicznego w Cincinatti, a gdy tłum zwiedzających przerzedził się nieco, zbliżyłem się do klatki małpy, zwanej kapucyńską (Capuchin monckey). Wypowiedziałem do małpy, siedzącej w kąciku klatki, słowo, które w mojem rozumieniu miało oznaczać mleko. Małpa natychmiast wstała, zbliżyła się do mnie i wyraz podobny powtórzyła parę razy. Zwróciłem się do posługacza, który w braku mleka przyniósł mi na miseczce nieco wody. Małpa usiłowała pochwycić miseczkę w łapy, a gwałtowne gesty dowodziły, iż cierpi potężne pragnienie. Przybliżyłem miseczkę do kraty: małpa umoczyła w niej palec, poniosła go do ust, poczem znów zaczęła powtarzać słowo, wypowiedziane poprzednio przezemnie. W ten sposób doszedłem do przekonania, iż słowo to, jeżeli nie oznacza mleka, oznacza w każdym razie napój, być może nawet pragnienie. Odwiedziłem następnie parę jeszcze małp kapucynek i nie znalazłem ani jednej, któraby nie zdawała się rozumieć słowa, wywierającego na pierwszej małpie tak znaczne wrażenie“. Według prof. Garnera język małpi jest bardzo trudny do graficznego przedstawienia. Składa się on bowiem z dźwięków miękkich, przypominających odgłos fletu i zawiera przeważnie samogłoski, poparte lekkiem h lub wh.

Hodowla psów. Co roku, w ostatnich dniach maja, na tarasie oranżeryi w ogrodzie tuileryjskim, odbywa się wystawa psów. W tym roku była ona mniej licznie obesłana, niż zazwyczaj. Utrzymanie psiarni jest rzeczą kosztowną. W całej Francyi, jak to wystawa poucza, jest tylko piętnaście większych psiarni, liczących po 80 do 100 psów w każdej. Złaja taka przedstawia wartość 30.000 fr. Najdroższe są pointery i settery, których cena sięga niekiedy pięciu tysięcy franków; 1.000 fr. jest zwykłą przeciętną ceną. Psy są najdroższe od lat trzech do siedmiu. Wziąwszy na uwagę, że do złai, złożonej ze stu psów, trzeba trzymać czterech jezdnych i sześciu pieszych, oraz dwanaście koni wierzchowych do polowania, i że złaja taka zjada rocznie do 36.000 kilo chleba, a nadto pociąga za sobą opłatę weterynarza i lekarstw — łatwo zrozumieć, że jestto zbytek, na który mogą sobie pozwolić jedynie ludzie bardzo bogaci i zawołani myśliwi.

Orkiestra psia. Tego jeszcze chyba nie było: w Londynie w teatrze „*Variety*“ produkuje się obecnie orkiestra, złożona z dwunastu tresowanych kundlów, które wykonują prawie bezbłędnie sześć utworów muzycznych. A dodać należy, że pomienionych dwunastu kundli bynajmniej nie wyje grając, ale owszem, krytycy angielscy utrzymują, że grają z wielkiem przejęciem.

Teraz już tylko — w tym prawdziwym *fin de siècle* — czekajmy psa, któryby napisał operę!

Przelot orłów. W pismach rosyjskich znajdujemy wzmiankę o niezwykłym przelocie orłów w okolicy Białogrodu nad deltą Dunajową. Lecące stado liczyło kilkaset sztuk orłów i kierowało się z południowo-zachodniej strony ku północno-wschodniej — od Egiptu ku Sybirowi. Znaczną część dnia spoczywały orły w obszernym lesie pod wsią Krasną, a chłopi pracujący w lesie tak się przerazili niezwykłym widokiem, że porzucili robotę i uciekli. Po odlocie orłów w dalszą drogę, znaleziono w lesie mnóstwo piór i puchu po zjedzonem przez orły drobniejszem ptactwie — i las wypróżnił się formalnie, bo tak zwierz czworonożny jak i ptactwo opuściło go z obawy przed niezwykłymi gośćmi i ich drapieżnością. Ptaki odleciały nawet uścielonych już gniazd i zniesionych jaj.

Ochrona ptaków. W czasie swych wędrówek wiosennych i jesiennych, giną ptaki, jak wiadomo, tysiącami w podróży swej przez Włochy, gdyż tępi je tam ludność bronią i sidłami. Otóż pisma włoskie donoszą, że Towarzystwa opieki nad zwierzętami Szwecyi, Norwegii, Danii i Finlandii porozumiały się i wystósowały wspólną petycyę do królowej włoskiej, Małgorzaty, odwołując się do jej szlachetnego serca i prosząc, aby nakazała przedsięwziąć odpowiednie środki, któreby uchroniły wędrujące przez Włochy ptaki od zagłady. Kwestya, czy monarchini, przy najlepszych chęciach, będzie mogła rozwinąć w tej sprawie skuteczną działalność. *Diritto*, zamieszczając tę wiadomość, dodaje od siebie uwagę: „Czyż te stowarzyszenia sądzą, że nasza królowa będzie sprawowała straż na szczytach Alp lub Apenin, aby uchronić napowietrznych żeglarzy od strzałów i sideł?“

Słuszna uwaga. Ani królowie, ani ustawy, ani żandarmi nie położą tamy dzikiemu tępieniu ptactwa. Jest na to jedna tylko potęga: większa oświata pospólstwa.

TREŚĆ:

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.